Nr. 2 (439). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 7 stycznia 1933. Nał. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 str...

ŚWIATOWID

ZAWODY KONNE W ZAKOPANEM.



W Zakopanem odbywają się obecnie wielkie zawody konne, pod protektoratem p. Prezydenta Rzpltej, przy udziale najwybitniejszych polskich jeźdźców, zarówno wojskowych, jak i cywilnych i cieszą się olbrzymiem powodzeniem wśród licznie w zimowej stolicy Polski zebranej publiczności. Na zdjęciu p. Świderski ze Śląskiego Klubu Jazdy, biorący przeszkodę w konkursie „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”.

Fot. Schabenbeck — Zakopane.



Z ŻAŁOBNEJ KARTY. We Lwowie zmarł śp. Józef Neumann, b. prezydent tego miasta. Położył on ogromne zasługi dla Lwowa. Szereg instytucyj publicznych, m. i. Kasa Komunalna zawdzięcza mu swe powstanie i rozwój. Zmarły pochodził ze starej mieszczańskiej rodziny i był przez szereg lat prezesem Strzelnicy i Sokoła. Cześć jego pamięci!



TEGO JESZCZE NIE BYŁO. Grono uczniów i uczenic szkoły przemysłowej w Bielsku na Śląsku urządziło własnemi siłami w „Teatrze Polskim" rewję p. t. „Tego jeszcze nie było". Rewję tę opracował i wyreżyserował p. Jan A. Madey, oprawę zaś sceniczną zaprojektował prof. Adam Bunsch. Z wykonawców na pierwszy plan wysunęli się: pp. Górska, Jankowska, Płaczkówna, Walchówna, Żurawikówna, Palowski, Górka i Maruszczak, oraz orkiestra pod batutą Leopolda Rzempla. Na zdjęciu finał rewji.



W SOWIETACH „KWITNIE" HANDEL. Władze sowieckie zakazały handlu na placu Sucharewskim w Moskwie. Gromadziła się tam biedota wiejska, sprzedając produkty przemysłu domowego i najrozmaitszą tandetę. Obecnie więc z placu tego zniknęły prawdziwie rosyjskie typy biednych mużyków, których reżim sowiecki wtrącił na dno nędzy.



PRZED MAKKABIADĄ. W lutym odbędzie się w Zakopanem t. zw. „Makkabiada", będąca swojego rodzaju igrzyskami olimpijskiemi świata żydowskiego. Na Makkabiadę zjadą zawodnicy żydowscy z całego świata. W związku z przygotowaniami do tej imprezy przyjechał do Warszawy lord Melchett, prezes wszechświatowej organizacji Makkabiady. Na zdjęciu powitanie lorda Melchetta (w pośrodku w okularach) na dworcu w Warszawie.



NOWY ROK NA ZAMKU WARSZAWSKIM. Dnia 1 stycznia b. r. p. Prezydent Rzplitej przyjął na Zamku życzenia noworoczne od korpusu dyplomatycznego członków rządu, generalicji, delegacyj urzędniczych oraz społeczeństwa. Na zdjęciu p. Prezydent w towarzystwie p. premjera Prystora w otoczeniu generalicji.

ECHA TYGODNIA



PAPIEŻ OGŁASZA ROK ŚWIĘTY.

Ojciec św. przed mikrofonem, wygłasza przemówienie we Wieczór Wigilijny.

Kiedy gwiazdka Betlejemska zapłonęła na niebie, usiadł Namiestnik Chrystusowy przed mikrofonem i wygłosił przemówienie do całego świata, ogłaszając równocześnie Rok święty, który zacznie się w niedzielę palmową, t. j. 2 kwietnia b. r., a skończy w kwietniu 1934 r.

W roku bieżącym bowiem mija 1900 lat od śmierci Chrystusa. Uczeni stwierdzili, że obliczenie to jest jednak nieścisłe i pochodzi z VI wieku po Chrystusie, kiedy to zakonnik Dionizy Mały po raz pierwszy zaczął liczyć wedle ery chrześcijańskiej, błędnie ustalając przyjście Zbawiciela na świat, tj. naznaczając Jego urodziny na 25 grudnia 752 r. od założenia Rzymu, czyli biorąc rok 754, jako pierwszy rok ery chrześcijańskiej. Wedle zaś nowszych badań, wszystko przemawia za tem; że Chrystus urodził się między sierpniem 748 r. a czerwcem 749 r., czyli mniejwięcej na pięć lat przed ogólnie przyjętą datą.

W przemówieniu swojem wigilijnem, wezwał Ojciec św. ludzkość do wzniesienia się w roku jubileuszowym w wyższą atmosferę ducha, do miłości bliźniego, do braterstwa i łagodzenia konfliktów.

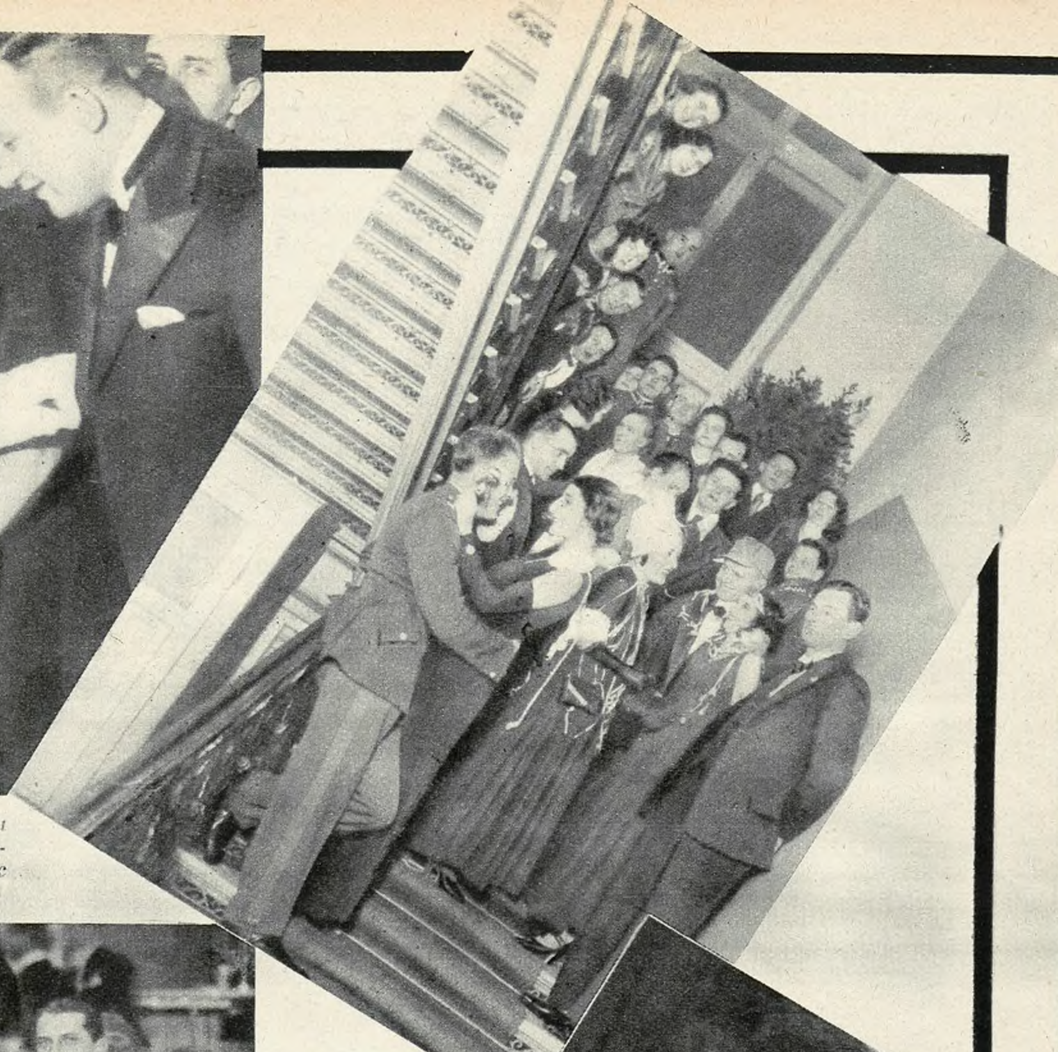
Podniosłych tych słów, słuchała dosłownie cała ludzkość.

Dzięki genjalnemu wynalazkowi Marconiego, mogły słowa Namiestnika Chrystusowego rozbrzmiewać na obu półkulach i były słyszane zarówno w pałacach, jak i w chatach wiejskich i w domach robotniczych.

Wrażenie tej niecodziennej audycji było niezwykle silne.



Znany i powszechnie lubiany dyrektor „Adrji“ p. Moszkowicz w otoczeniu grona pięknych pań i wytwornych panów — bywalców tego najwykwintniejszego dancingu stołecznego, wesoło wita nadchodzący Rok Nowy, trzymając na kolanach prosiaczka — jako symbol szczęścia i powodzenia.



W kasynie podoficerskim bawiono się także ochoczo do białego rana.



Rozbawione towarzystwo przy szampanie.



Na reducie w Teatrze Wielkim.

Sylwester w stolicy.

Dziwni są ludzie.

Rano zasiada taki pan przy biurku, robi bilans całoroczny zysków i strat, stwierdza, że gorzej być nie może (chyba w następnym roku), poczem wstaje i wychodzi na miasto szukać pieniędzy. Wieczorem ubiera się we frak lub smoking, bierze pod pachę żonę lub „metresę“ i wali autem do jakiejś tam knajpy zamknąć rok nieproduktywnym wydatkiem względnie grubszej (jak na obecne czasy) sumy pieniędzy.

Jest to „Sylwester“.

Kto to wymyślił — nie wiem. W każdym razie jakiś bardzo przesądny jegomość, który sobie ubzdurał, że jak się rozpocznie nowy rok na wesoło, to wszystko będzie dobrze: i interesy same będą dobrze szły i powodzenie u kobiet będzie i „wogóle“! W następnym roku życie daje mu znowu po skórze, lecz niepoprawny „zabobonnik“ znowu w Sylwestra „zaklina los“ wydatkiem poważniejszym na alkohol i kiepskie jedzenie restauracyjne.

Psychozie tej ulega cała ludzkość od paruset lat zaledwie, gdyż przedtem obchodzono początek roku nowego w skupieniu i rozmyślaniach. Coś w 17-ym wieku rozpoczęła się era „szału“ sylwestrowego. Od tego czasu nie wypada w Sylwestra położyć się normalnie do łóżka.

Na wieczór ten czekają z utęsknieniem restauratorzy i ich wierzyciele, szoferzy, baloniarze, krawcowe, fryzjerzy, sklepy z konfekcją damską i męską, oraz złodzieje kieszonkowi.

I przychodzi wreszcie tak długo oczekiwana chwila. Siedzimy już przy stoliku restauracyjnym: światło gaśnie, dwanaście uderzeń w jakiś orkiestrowy rondel, światło się zapala, kieliszki do góry, pijemy kiepskie wino, orkiestra gra poloneza Chopina, wszyscy się całują, życzą sobie wszystkiego najlepszego, hałas, krzyk, wesołość, oraz entuzjazm.

Warjaci! Kogo wy chcecie zablagować? Siebie samych? Że niby już skończył się rok kiepski, że już będzie lepiej? „Rumieniec wstydu“ występuje mi na twarz, gdy patrzę na was i gdy spostrzegam, że ja sam biorę udział w tym „sabbacie“. Ale trudno: „gaudeamus igitur“, „Precz, precz smutek wszelki“ i t. p.

— — — — — — — — — — —

Warszawa w tym roku wysiliła się, jak mogła, aby „szał sylwestrowy“ wypadł możliwie reprezentacyjnie. Chciałbym to zarobić przez rok (a zarabiam dużo), ile kosztowały ogłoszenia rozmaitych imprez sylwestrowych w pismach warszawskich. Wszystkie teatry, teatrzyki, kina, restauracje obiecywały, że „tylko u nich“ będzie prawdziwy szał, wesołość, humor i wogóle nastrój „paryski“. No i ludek warszawski, żeby sobie potem nie mieć do wyrzucenia, że rok mu źle poszedł, bo go w Sylwestra wesoło nie zaczął, zapełnił wszystkie teatry i lokale. Tak, jak ateista, który przed śmiercią, na wszelki wypadek, spowiada się.

Czy było wesoło? Tak jak zwykle: jeżeli kto „przynosi ze sobą wesołość“, to jest mu wesoło, a jeżeli „przychodzi po wesołość“, to musi podlać swe pożądania odpowiednią ilością trunków, aby stracić poczucie proporcji faktów i stać się „maleńtasem“, któremu balonik wystarcza do szczęścia.

„Podlać!“ I tutaj występuje sedno rzeczy: ile człowiek mógł wydusić ze znajomych i z lombardów gotówki na stworzenie podłoża do nastroju dyonizyjskiego.

Niestety! Warszawa w tym roku bawiła się przeważnie wesołością, przyniesioną z domu. W najprzedniejszych lokalach jedna butelczyna winka na stoliku i parę kieliszków koniaku — oto cały arsenał, który służył do nabijania armaty entuzjazmu. I ciekawa rzecz: więcej było „ululanych“ pań niż panów. Widocznie ród męski, mając w perspektywie rachunek, trzeźwiej patrzał na sytuację. Czy to elita i izra—elita warszawska, czy też sfery normalnych ludzi, wszyscy oparli swój budżet sylwestrowy na lemoniadach i wodzie sodowej. To też zdziwiona policja zanotowała w tym roku w Sylwestra minimalną ilość wypadków i przestępstw natury alkoholicznej. Nie było, tak jak dawniej, błądzenia od lokalu do lokalu, bo to i taksóweczki, i szatnia, i znowu woda sodowa. Dwa tylko lokale: „Adria“ i „Femina“ cieszyły się nieustannym przypływem i odpływem sylwestrowiczów: pierwszy — bo nie wypada nie być w Sylwestra w „Adrii“, drugi — bo tam spotkać można było wszystkich benjaminków teatralnych Warszawy.

Koło północy, gdy zbliżała się godzina 12-ta, zaczął padać śnieg. Padał całą noc. Gdy wracałem do domu — cała Warszawa pokryta była białym puchem śnieżnym. Po jego bieli doniosłem do domu dobry nastrój wieczoru sylwestrowego.

Rano, kiedy się obudziłem na ulicach śnieg szybko topniał. Błoto. Zaczął się rok nowy.

Old Goj.

NA ŚNIEŻNYM TORZE POD GIEWONTEM.



Uczestniczki Centralnego Obozu Instruktorskiego, zorganizowanego przez Polski Związek Narciarski w Zakopanem.



Praktyczne ćwiczenia uczestników kursu.

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID".

Zakopane, w końcu grudnia.

Zakopane przedstawia w czasie świąt Bożego Narodzenia prawdziwy fenomen natury. Potoki słońca zalewają naszą stolicę sportów zimowych jak powódź. W końcu grudnia jest to przecież wypadek niezwykle rzadki. W morzu chmur i mgieł, któremi spowita jest cała Polska — Tatry są wyspą, kąpiącą się w słonecznych blaskach.

Rankami snują się po górach i w kotlinie, w której leży Zakopane, subtelne mgły. Mróz osadza tę mgłę dosłownie na wszystkiem, w postaci fantastycznych listków szronu. Rozpalają się one miljonem wielobarwnych iskier, gdy z za grani tatrzańskich wychyli się słońce. Uciekają przed niem mgły, jak przed czarodziejskiem skinieniem władcy. Niebo staje się znowu niebieskie, owym delikatnym błękitem wczesnej zimy; a gdy po przesłonecznionym dniu nastaje wieczór — na granacie niebios jawią się gwiazdy... na pogodę.

Wszystko to robi niezrównane wrażenie i magnesem trzyma te tłumy, które do Zakopanego zjechały na święta — na śnieg. Śniegu zaś niestety jest niewiele, podobnie zresztą jak w całej Europie. Przecież jednak bóstwo zimy i pod tym względem obeszło się łaskawie ze swymi zwolennikami.

Na podreglowych polanach i u ujścia dolin tatrzańskich roi się od narciarzy. Ćwiczy więc olbrzymi ilością uczestników instruktorski kurs związku narciarskiego i ciągną ustawicznie grupy zwolenników narciarskich rozkoszy z wszystkich prawie hoteli i pensjonatów ze swymi nauczycielami. Po kilku godzinach stoki pod reglami wyjeżdżone są na twardo, wyślizgane tysiącem śladów i ewolucyj narciarskich. Ale potem przychodzi noc, oraz owe mgliste poranki przy mrozie. Na twardej wczoraj powierzchni wykwitają nowe śnieżne kwiaty i oto znowu można jeździć. Dzieje się więc, że w Zakopanem — mimo iż śnieg nie pada — codzień narasta pokład śnieżnej pościeli.

Narciarze więc ostatecznie nie skarżą się. Mogło być gorzej, gdy zawiodły miejscowości, mające podobno abonament na najlepsze śniegi. Góry co-

Dalszy ciąg na str. 6-ej.

NA ŚNIEŻNYM TORZE POD GIEWONTEM.



Poseł Marjan Dąbrowski składa gratulacje zdobywcy pierwszej nagrody por. Dąbskiemu--Nehrlichowi.



Adepci kunsztu narciarskiego pod Reglami w Zakopanem.

(Dalszy ciąg ze str. 5-tej).

prawda są tylko „przykurzone“ Gubałówka szarzeje skibami roli i wspaniałą zielenią traw, ale pod reglami śniegu jest dość i można pohasać, choć niejedna kretowina i niejeden kamyk nie umilają narciarzowi życia.

Jest na północy Europy legenda o „czarnej“ zimie. W dalekiej Norwegji mówi się wtedy, że oś ziemska się przekrzywiła i że zima przyjdzie późno. W Zakopanem niema jednak „czarnej“ zimy, gdyż jest ona słoneczna tak niezwykle, że nawet człowiek, dla którego niema zimy bez śniegu, staje z podziwem przed krasą takiego końca roku.

Gdy jednak narciarze robią dobrą minę do złej pogody — triumfują radośnie zwolennicy innych emocyj. Mały stadjon lodowy ściąga na znakomitą ślizgawkę prawdziwe tłumy. Niedawno zakończyły się także rozgrywki turnieju hokejowego, który coraz bardziej zyskuje sobie w Polsce zwolenników. Zyskuje ich także na Podhalu, a malutko, a wyjdzie na lód zakopiańska drużyna. Kto wie, czy piękny ten sport nie rozwinie się tutaj tak jak narciarstwo i tutejsi mistrzowie czarnego krążka i zakrzywionego kija nie sprawią w najbliższych latach sportowej niespodzianki.

Wszystko to wkońcu usuwa się na dalszy plan, gdy zaczynają się dni konnych zawodów. Na wielki stadjon, na którym — o dziwo — śniegu jest dość na jazdę włókiem (którą uparcie nazywają w Polsce skjöringiem) sypią się makowe fraki, wojskowe mundury i barwne stroje ludowe. Uginają się pod tłumami widzów trybuny, gdy w zawrotnym galopie pędzą rasowe rumaki lub idą o lepsze góralskie koniki.

Nie tak dawno, gdy w Zakopanem po raz pierwszy zrobiono zimowy wyścig konny. Zdawałoby się, że prócz zabawy dla przybyszów nie spełni on żadnego innego celu. A jednak góralskie naprzykład konie, startujące dziś na zakopiańskim torze wyścigowym — to naprawdę zupełnie inna, znacznie piękniejsza rasa zwierząt, niż to było bodaj przed dwoma laty.

Zapalił się podhalański góral do konnych wyścigów, jak umie zapalić się do wszystkiego, co trąca w jego żyłkę sportową. I koń lepszy i uprząż piękniejsza i jeździec wie już co rutyna, taktyka i technika jazdy. Wyścig ludowy w Zakopanem to naprawdę zajmująca część wspaniałego programu zimowych zawodów konnych.

Ostatnie zawody konne zgromadziły, jak zawsze, elitę jeźdźców dżentelmenów i znakomite konie. Nic dziwnego. Jedne są tylko w Polsce zimowe wyścigi w Polsce — a te odbywają się w Zakopanem — sportowiec, jak wiadomo, nie usiedzi.

Cóż dziwić się, że gdy słońce zalewa dosłownie stadjon, gdy na trybunach mimo mrozu cieplej, niż nieraz w marcu — że na widowni zakopiańskiego toru dała sobie rendez vous towarzyska elita. Miło jest siedzieć i grzać się do słońca, patrzeć na pogodne niebo, przekreślone kolorem sztandarów, zdobiących stadjon i spozierać ku bielejącym Tatrom — a od czasu do czasu zerknąć ku bliźnim. Nie brak wśród nich znacznych i sławnych przedstawicieli płci silnej oraz mnóstwo uroczych towarzyszek płci pięknej.

Miały zaś panie w drugi dzień wyścigów specjalną, dodatkową emocję dla siebie. Rewja mód zimowych, urządzona na stadjonie po raz pierwszy w Polsce — udała się prawdziwie. Impreza ta świadczy, że przy pewnej pomysłowości można osiągnąć pradziwy sukces.

Tak więc beztroskie są obecne, przepiękne zakopiańskie dni świąteczne. Może i dobrze, że jest w Polsce zakątek, do którego warto choć na krótko przybyć, aby zapomnieć o tem, co męczy, a cieszyć się słońcem, pogodą, zimą i nawet tym śniegiem, którego tak jest mało, a który jest tak przy tem przedziwny. **(f)**



Przed startem do biegu sztafetowego o mistrzostwo Polski.



Trybuny stadjonu zimowego, przepełnione do ostatniego miejsca, w czasie zawodów.

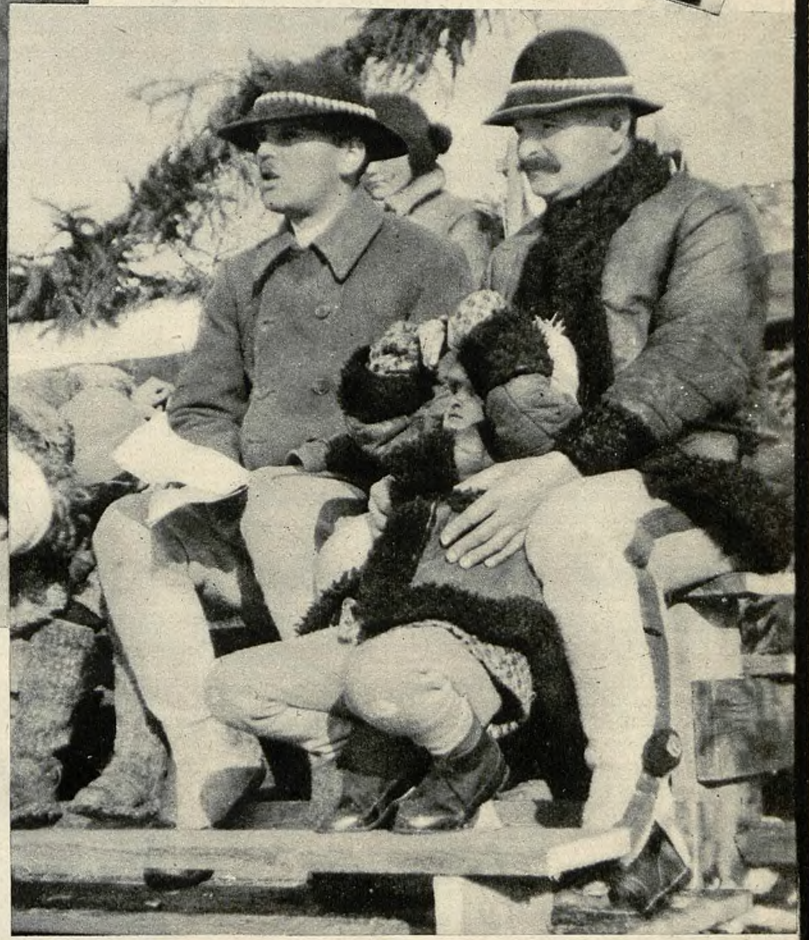
Fot. Schabenbeck — Zakopane.



Zawody skjöringowe, na tle panoramy Giewontu.



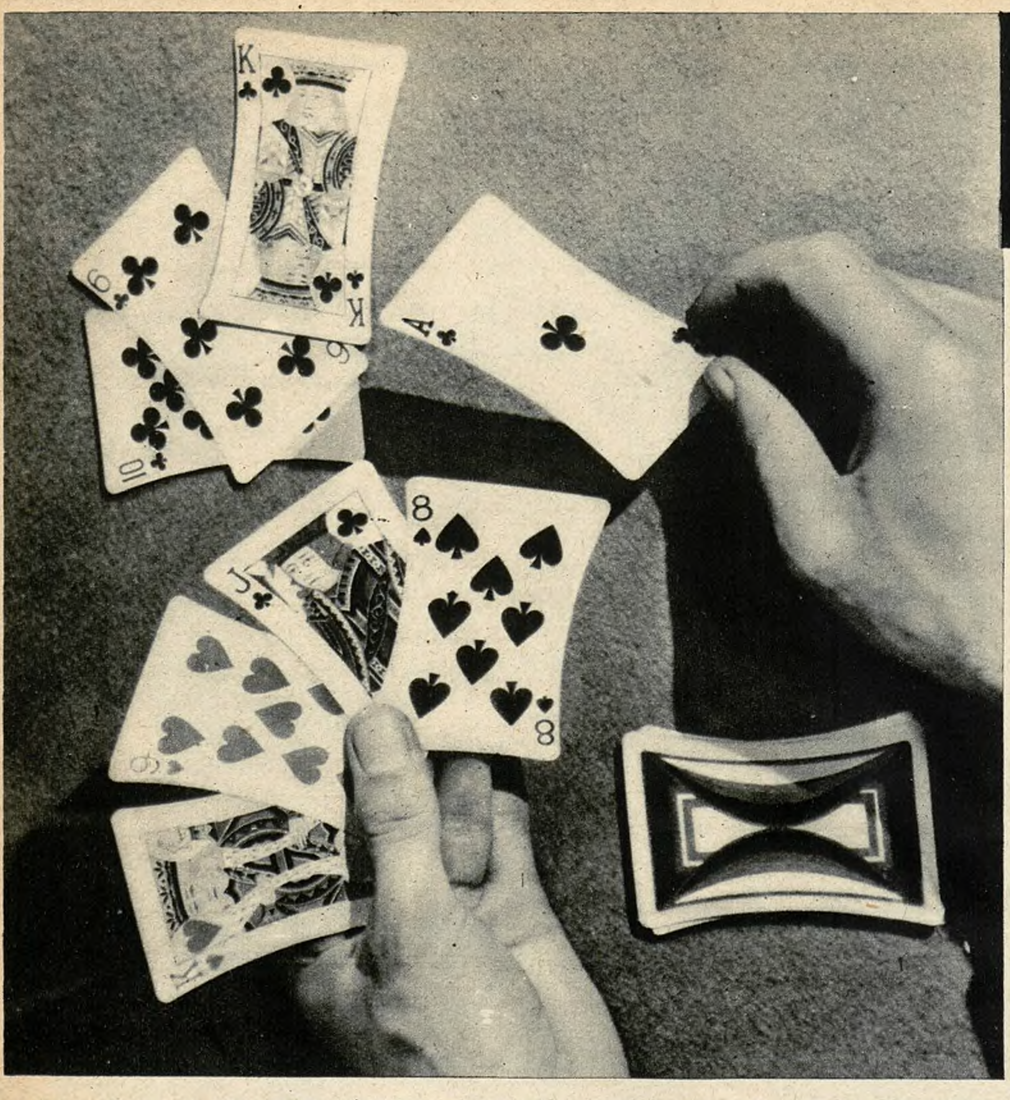
Kapitan Związkowy PZN. p. S. Faecher (pierwszy od lewej), studjujący trasę do biegu.



Górale interesują się bardzo sportem i nigdy ich nie brak, zarówno na płatnych, jak i „zielonych“ trybunach, Nic dziwnego, z pośród górali rekrutują się najlepsi w Polsce narciarze i skoczkowie.

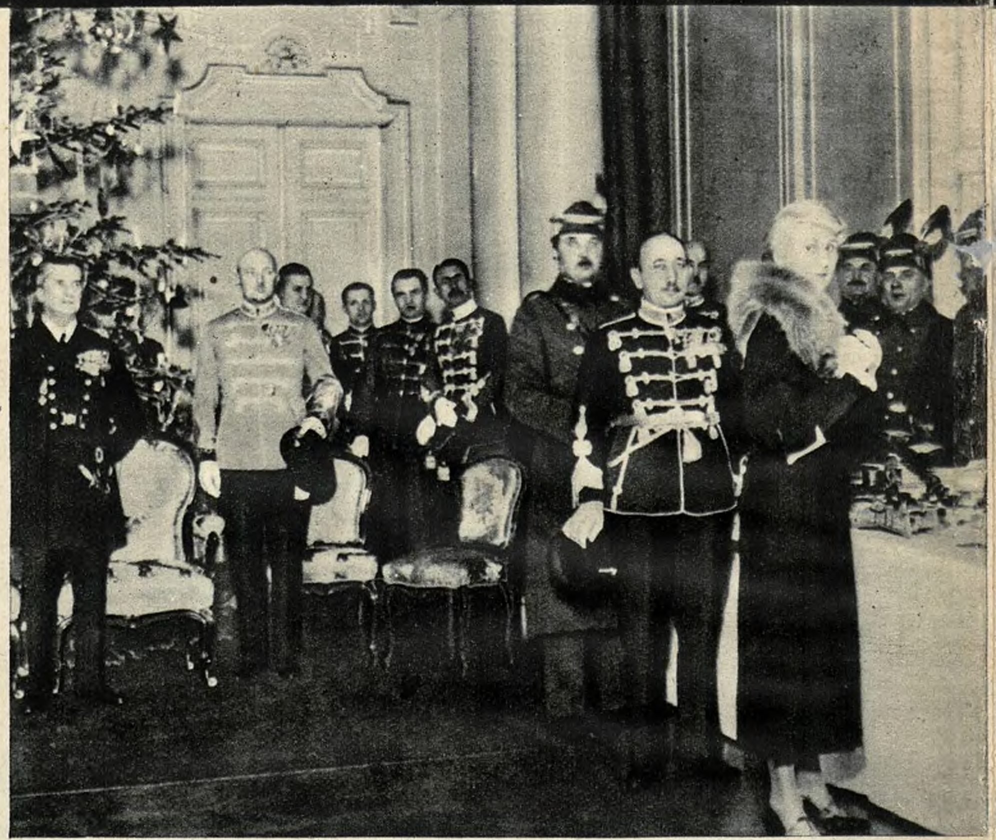
WSZYSTKIE ZDJĘCIA WYKONAŁA AGENCJA FOTOGRAFICZNA ŚWIATOWIDA.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



COŚ DLA GRACZÓW W KARTY. We Francji pokazały się w handlu nowe karty do bridża, które oznaczają się tem, że mają boki wklęsłe, dzięki czemu jest je lepiej tasować, układać i trzymać w ręku. Tak przynajmniej twierdzi fabrykant. Niewątpliwie karty te zawitają i do Polski a wtedy potężna armja bridżystów sarmackich będzie mogła osądzić, czy te ulepszenia mają jakieś praktyczne znaczenie.

Wide-World Photos, Paris.



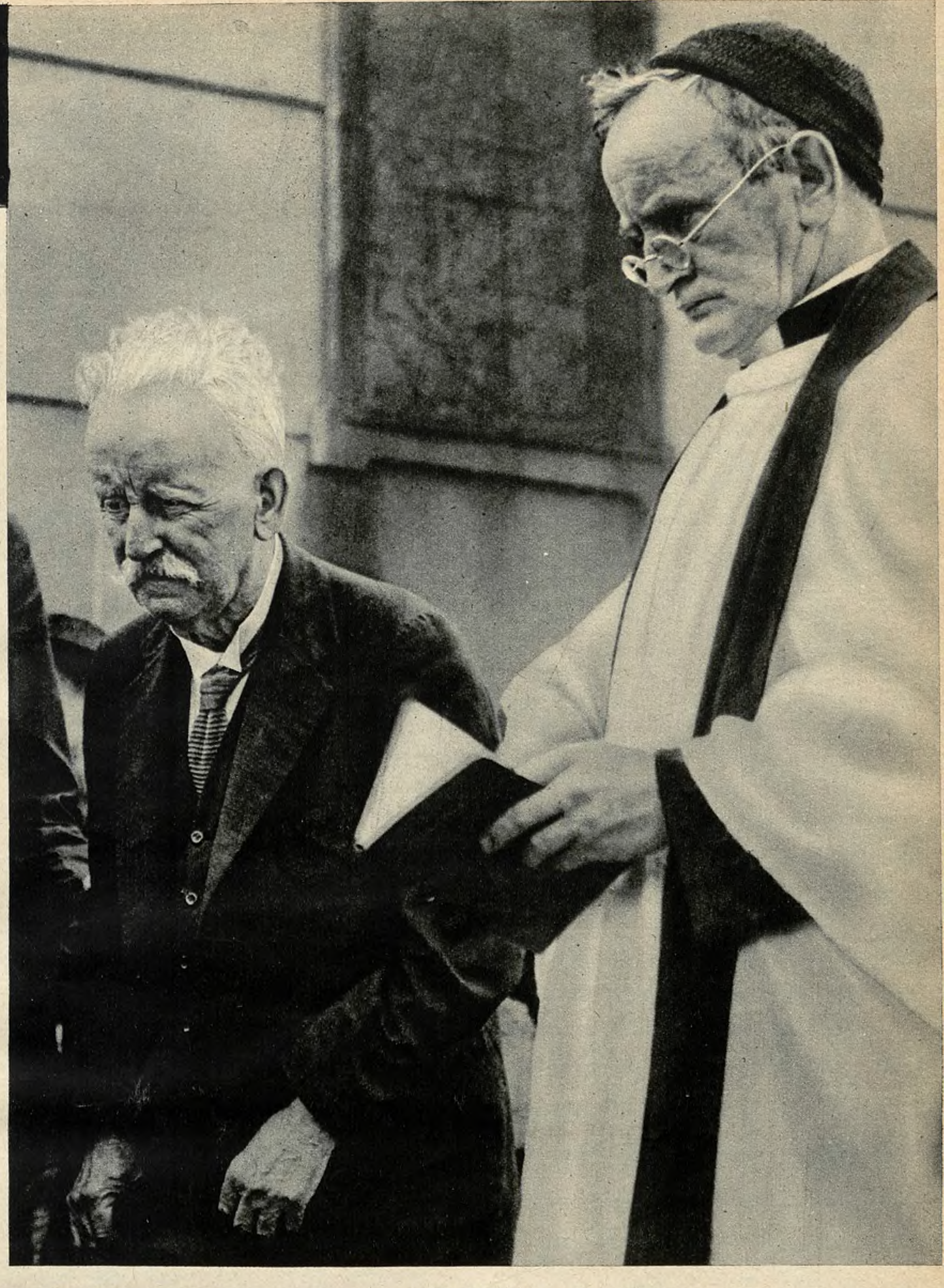
GWIAZDKA W DOMU REGENTA WĘGIER. W wieczór Wigilijny regent Węgier admirał Horty, przyjął u siebie przedstawicieli korpusu oficerskiego, pomiędzy których jego małżonka rozdzieliła dary noworoczne. Moment ten przedstawia fotografja. Pierwszy od lewej regent Horty.

Trampus — Paris.



KTO WYGRAŁ? Hiszpanie grają namiętnie na loterji. Nawet najuboższy człowiek, kupuje tam do spółki z innymi znajomymi cząstkę losu, spodziewając się głównej wygranej, której ciągnienie odbywa się w Madrycie w dniu świąt Bożego Narodzenia i jest oczekiwane z najwyższem napięciem w całym kraju. Tego roku wygraną w kwocie 3 miljonów pezatów wygrał dr. Fernando Rodringuez. W przeddzień ciągnienia zamknięto go za różne nadużycia.

Keystone — Berlin.



MORDERCA WŁASNEGO SYNA. Australczyk Natan Covett, liczący 81 lat zamordował w uniesieniu swojego syna. Wtrącony do więzienia, kiedy przyszedł do równowagi, okazał głęboką skruchę i wyraził życzenie, aby pozwolono mu wziąć udział w pogrzebie swojej ofiary. Życzeniu temu uczyniono zadość. Kiedy sędziwy starzec stanął nad trumną swojego syna, spazmatyczny szloch wyrwał się z jego piersi (na zdjęciu).

Presse-Photo.

Feljeton tygodniowy.

ZOFJA KOSIŃSKA-MUSSILOWA.

WIRUJĄCE GŁUPSTWO.

„Ta joj! — to jo-jo!“ — zawołaćby można efektownie z lwowska po polsku — „taż ta ja ci mówi“ — że to idjotyzm, jakiego świat jeszcze nie widział, zaraźliwa choroba, coś niby rozmiękczenie mózgu, warjactwo z bezmyślności. — Za dawnych dobrych czasów ludzie szanowali się całkiem inaczej — a jednak stop! — „Głupstwo jakiego świat nie widział?“ Czy naprawdę? — Świat jest stary, bardzo stary i widział dużo, bardzo dużo. — Nic dlań niema całkiem nowego, podobnie jak i dla księżyca. — Tylko świat jest hipokrytą i dlatego wciąż gorszy się na nowo, — zaś księżyc to mądry starzec, mądry tą największą, najprawdziwszą mądrością, jaką daje doświadczenie sędziwego wieku. — Patrzy wciąż patrzy, obserwuje i uśmiecha się zawsze jednakowo wyrozumiałym, choć zagadkowym uśmiechem sfinksa. Gdyby tak zechciał przemówić, ileż miałby do powiedzenia... i o tem też, że zna i wie wszystko więc niczemu już się nie dziwi.

Umysł ludzki do najgenjalniejszych wzlotów w każdem pokoleniu zdolny zna też i swoje nieuleczalne głupostki. Do takich właśnie objawów należy szerzące się dziś epidemicznie jo-jo.

Ponieważ jednak za daleko byłoby sięgać w genealogji głupstwa aż do stworzenia świata cofnijmy się tylko o jakie 50 lat wstecz. Zaledwie więc pół wieku temu panoszył się całkiem podobny obłęd pod filuterną nazwą cri-cri. — Było to takie coś, albo takie nic wydające dźwięk cri-cri, którem podobno ludzie od najmłodszych począwszy a na najstarszych skończywszy dokuczali sobie z zamiłowaniem godnem lepszej sprawy.

Pod koniec pierwszej dekady 20-go wieku przyszło: Bi-Ba-Bo, egzotyczne w nazwie, misterne, różnorodne kształtem i zawładnęło światem. Kunsztowne to straszydełko o twarzyczce dziecka, murzynka, clowna, niedźwiadka, lub zwykłego potworka krygowało się z równą gracją w pulchnych łapkach dzieciaków, jak wyglądało z kieszeni ludzi dojrzałych, ba starych, lub wyskakiwało strojnym paniom z torebek i zarękawków. Do dziś dnia Bi-Ba-Bo wegetuje jeszcze w cieniu starych szuflad, lub najmodniejszych limuzyn jako maskotka.

Przed samą wojną pojawiło się: diabolo. Metalowy, gumowy, lub drewniany krążek, wyrzucany w powietrze zręcznym ruchem rąk i cięciwą



„Jo-jo“ atrybut 1932 r.

sznurka. Była to gra występująca też z epidemiczną siłą — estetyczna, wyrabiająca oko i zręczność.

Diabolo przyszło pełne dumnych planów pogrążenia tennisa, lecz zeszło z placu, nie zrealizowawszy swych nadziei, podobnie jak powojenny: ping-pong.

W każdym człowieku drzemie coś z dziecka, każdy potrzebuje chwili beztroski, odprężenia nerwów. W dobie obecnej wyrazem tego jest jo-jo, proste w materjale, nieskomplikowane w linji, jak dusza sportsmana, bo sportsman jest synonimem naszej współczesności, a sport też rodzajem wielkiej epidemji, która ma leczyć fizyczne i duchowe wady człowieka.

Ale wracamy do właściwego tematu, do głupstwa. Przyszła więc teraz moda na jo-jo, w którego nazwie brzmi prymityw dźwięku, zaczerpnięty pewnie z języka czarnych ludzi — jo-jo, może jaki przyrodni brat jazz'u i tanga. Jo-jo, to dwa półkuliste krążki z drzewa, metalu, celuloidu, gumy, albo też dwie z sobą połączone kulki i w środku zwykły, ordynarny sznurek, który w zręcznych rękach przybiera pozory najelastyczniejszej gumki i za którego pomocą jo-jo wiruje, huśta się, skacze, tańczy, wykonuje loopingi i korkociągi, słowem nieprawdopodobne wprost ewolucje. Jo-jo szerzy się nagminnie, jak grypa jesienią. Z jednaką beztroską i nonszalancją tańczy po ulicach w rękach małych, sprzedających chłopaków, jak i po kawiarniach, restauracjach, dancingach w pielęgnowanych, manikurowanych palcach strojnych pań i panów. Jo-jo jak mały, niesforny urwisz wkrada się do biur i w sklepach tańczy beztrosko za ladą. Jo-jo stało się przebojem tańczącego sezonu, kpi sobie ze wszystkich krytyk, nic go nie pogrąży chwilowo. A gdy się z nim wszyscy pogodzą, zniknie tak nagle, jak przyszło.

Co to jest moda? — Owczy pęd ogółu, albo ładniej powiedziawszy: psychoza tłumu na jakiemś tle, jego spontaniczny poryw w jednym kierunku. Wszystko dokoła nas, we wszystkich dziedzinach życia jest wyłącznie zależne od mody. Moda jest kapryśniejsza od najpiękniejszej kobiety, moda jest największym despotą, najbezwzględniejszym tyranem.

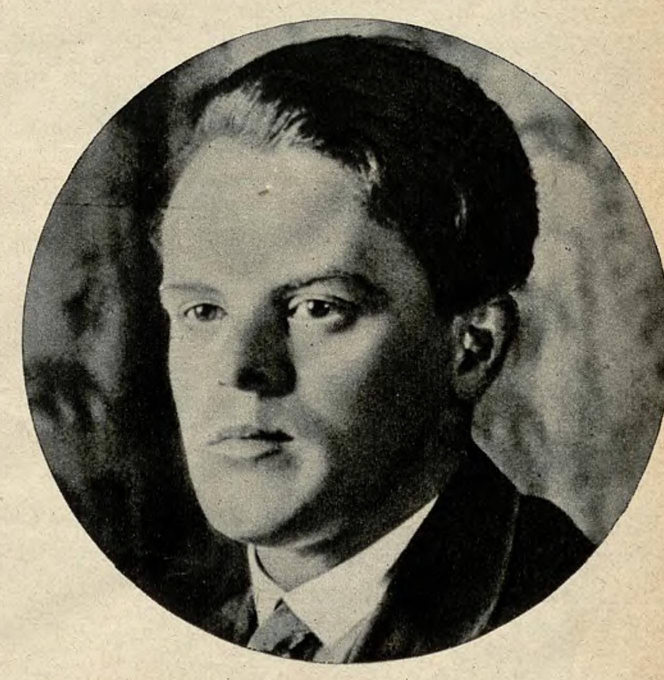
Bywają więc mody i na rozrywki bezmyślne jak cri-cri, bi-ba-bo, lub jo-jo — i na rozrywki, wymagające wielkiego nawet skupienia, jak: szachy, mah-jong, bridge. Bridge przez wielkie B, który opanował obecnie świat z taką bezwzględnością, że przytłumił w rozwoju nawet dancing, najbujniejszy kwiat powojennej radości życia, a poważnie grozi zagładą do wielkiego rozkwitu doprowadzonemu w ostatnich wiekach kunsztowi konserwacji.

Publiczny dancing wywołał: zmierzch salonu — bridge: zmierzch konserwacji — jo-jo nie wywoła niczego, jest całkiem niegroźne, nic nie zburzy i nic nie zbuduje — w sam raz tanie zabicie czasu, doskonały passe-temps na kryzys, gdy na droższe rozrywki nas nie stać — a więc bawmy się bez obawy w jo-jo!



POCHÓD CYWILIZACJI PRZEZ DŻUNGLE EQUADORU. Plagą krajów tropikalnych są różne choroby zaraźliwe, które dziesiątkują ludność, żyjącą na najniższym stopniu kultury i wrogo odnoszącą się do wszelkich poczynań sanitarnych. Ostatnio jednak Misjonarzom Salezjańskim (na zdjęciu) w Equadorze udało się nakłonić Indjan do szczepień ochronnych przeciwko ospie. Krajowcy przekonawszy się, że szczepienia te ratują ich od śmierci, masowo zgłaszają się do misji, prosząc o ratunek.

The New York Times.



TAJEMNICZY TRUP W WORKU. W Dreźnie wyłowiono trupa mężczyzny, zaszytego w worek i obciążonego kamieniami. Po bliższem badaniu okazało się, że jest to ciało niejakiego Hentzscha (na zdjęciu). Po raz ostatni widziano go w towarzystwie bojówkarzy hitlerowskich. Oni go też zabili ze względów politycznych, prawdopodobnie za zdradę partji, poczem zbiegli do Włoch.

Presse-Photo.

POWÓDŹ WE FRANCJI.

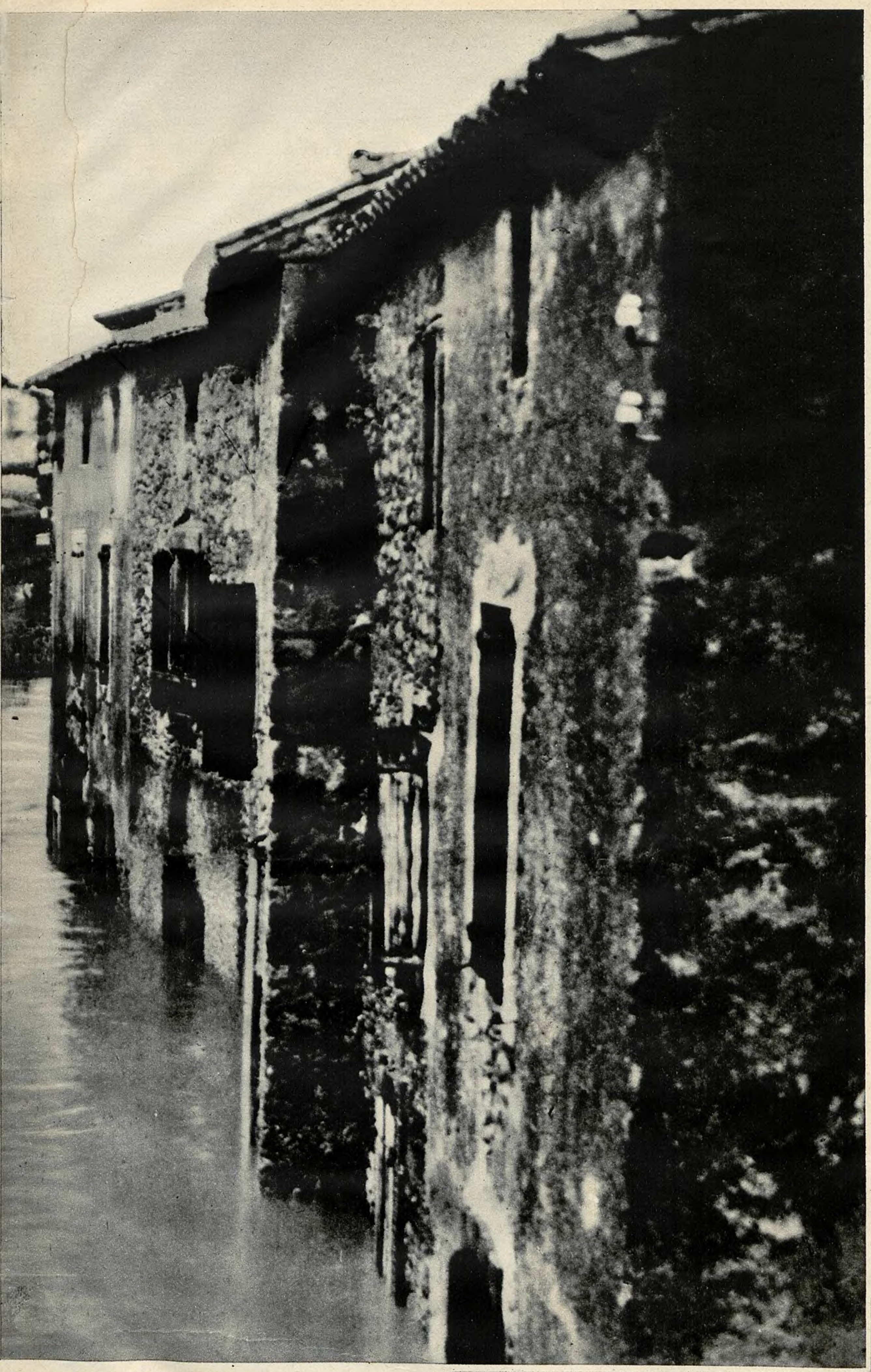


Południową Francję nawiedziła ogromna powódź, która Aude w miejscowości Narbonne,



Burza szalejąca u wybrzeży Biarritz, wokół skały Matki Boskiej.
Wide-World Photos — Paris.

Utarło się powiedzenie, że powodzie są specjalnie zarezerwowanem zjawiskiem dla naszego kraju. Przyznać trzeba, że zjawisko to istotnie zbyt często u nas występuje, powodując olbrzymie szkody, pociągając za sobą nieraz wiele ofiar. Co roku w lecie, lub na wiosnę rzeki występują z brzegów, zalewając wielkie obszary ziemi, zatapiając wsi i miasta. Czyż w samym Krakowie nie mamy tradycji strasznych powodzi? czy nie mówią nam o nich tablice wmurowane w ściany domów nad Wisłą, lub nawet na odleglejszych od niej stojących ulicach, znaczące poziomy wezbranej wody, która wdarła się do mieszkań, niszcząc cały dobytek.



spowodowała olbrzymie straty. Na zdjęciu wylew rzeki która znalazła się zupełnie pod wodą.
Wide-World Photos — Paris.

Niemniej jednak powodzie nie są specjalnie dla nas zarezerwowane. W tak dobrze pod względem dróg wodnych, tam, śluz i zastawni zagospodarowanej, zasobnej Francji, powódź nie jest zjawiskiem rzadkiem. Zdarzają się tam nawet takie wprost nie do pojęcia powodzie, jak np. powodzie w Paryżu, w centrali Europy, gdy woda z Sekwany rozlewa się po quais, występuje z kanałów, zalewa niżej położone nad Sekwaną mieszkania, wsącza się do tuneli kolejowych, biegnących pod Paryżem wzdłuż Sekwany i do podziemnych dróg „metro".

Niedawno straszna powódź zniszczyła wiele miast lazurowego wybrzeża, które na wiosnę w roku ubiegłym także tonęło pod wodą. A obecnie nadchodzą fotografje, przedstawiające niebywałą i przerażającą w rozmiarach powódź w południowo-zachodniej Francji.

Pod wpływem długotrwałych zimowych deszczów wystąpiła tam z brzegów rzeka Aude, na wielkiej przestrzeni zalewając ziemię, w szczególności zaś dając się we znaki miastu Narbonne i okolicznym, jak Ornaisson, Coursan i Cuxac.

Ostatnio podobnie wielka powódź zniszczyła te okolice przed dwoma laty. Ledwie odbudowane miasteczka spoczęły dzisiaj znów pod wodą. Mieszkańcy Narbonny pogrążeni w ciężkiej rozpaczy, liczą tylko na pomoc rządową, inaczej bowiem nie będą w stanie podnieść się po raz drugi w tak krótkim czasie o własnych siłach.

Nad zalanemi okolicami woda wznosi się na wysokość czterech i pół metrów. Zalane okolice zostały prawie zupełnie odcięte od świata, gdyż woda zalała i zniszczyła tory kolejowe i szosy tak, że nie można niemi się przedostać. Ewakuacja i zaopatrywanie mieszkańców odbywa się zapomocą łodzi.

Nie tylko więc u nas, ale i w innych krajach powódź, klęska żywiołowa, niepowstrzymana przez żadne dzieła ręki człowieka, spada na spokój mieszkańców, a gdy minie, pozostawia za sobą tylko zniszczenie, nędzę i rozpacz. **Wu.**



Rzeka Aude, wystąpiwszy z brzegów, zalała olbrzymie połacie kraju. Stan jej podniósł się o 4·55 m.
Wide-World Photos — Paris.

W oparach zwidzeń i śmierci.



Anamitka, przygotowywująca fajki z opium dla gości z palarni.



Chińczyk, zapalający fajkę z opium. Za chwilę uśnie, a wtedy zjawią się przed jego oczyma senne mamidła i świat wyczarowany, jakby z bajek. Ta złudna chwila szczęścia zrujnuje jego organizm i zbliży go do śmierci.

Z. Kluger & Co — Berlin.



Ofiara strasznego nałogu. Zdjęcie z portowej palarni opium w Chinach, przeznaczonej dla marynarzy.

Z. Kluger & Co — Berlin.

Ustawodawstwo wszystkich krajów cywilizowanych zna surowe kary przeciwko handlowi opjum. Od długiego szeregu lat liczne stowarzyszenia i związki międzynarodowe oraz lokalne, zwalczają ten straszliwy nałóg, nawet genewska Liga Narodów utworzyła osobny komitet, wyłącznie się tą sprawą zajmujący. A jednak rezultaty tej walki są dotychczas bardzo nikłe. Jest to hydra stugłowa, tem niebezpieczniejsza, że ukrywa się przed najczujniejszem okiem władzy i społeczeństwa, a w zbrodniczych swych poczynaniach wspomagana jest nietylko przez producentów i sprzedawców, lecz i przez konsumentów opjum. Ogniskiem handlu opjum są Chiny, a Chińczycy odgrywają pierwszą rolę w pośredniczeniu pomiędzy producentami i większymi, lub drobniejszymi sprzedawcami. We wszystkich wielkich miastach portowych, zwłaszcza Europy południowej są centra tego handlu, skąd towar rozchodzi się tajnemi drogami po całym kontynencie europejskim, szczególnie oczywiście w dużych miastach, jak Berlin, Wiedeń, Paryż i t. d.

Jest rzeczą niesłychanie trudną dostać się do jednej z takich palarni opjum. Nawet reporterowi dziennikarskiemu, wyćwiczonemu we wszystkich, najbardziej skomplikowanych praktykach, przychodzi to ogromnie trudno. Trzeba pozyskać sobie — pieniądzmi oczywiście, ale nietylko niemi — zaufanie pośredników, by w ich towarzystwie dotrzeć nareszcie do celu. Zazwyczaj jest to jedna z najodleglejszych i najciemniejszych uliczek wielkiego miasta portowego. Wejście do takiej spelunki zamaskowane jest „niewinnemi" pustymi skrzyniami i pakami. Gdy się je odsunie, zobaczy się wąskie i ciasne wejście. Po kilku równie tajemniczych stopniach schodzi się na dół, nikogo po drodze nie spotykając. Dopiero, gdy się przejdzie przez piwnicę, pełną dusznego powietrza, schodzi się znowu kilka stopni w dół — i nareszcie wita człowieka jakiś świat. Odsuwa się ciężką i ciemną kotarę i odrazu odczuwa się jakiś dziwny zapach. Rozejrzawszy się w przestrzeni, bardzo niewyraźnie zapomocą lampjonów papierowych oświetlonej, widzi się ludzkie postacie, rozłożone na otomanach, lub matach i pogrążone w martwym śnie. Niektóre z nich trzymają w ustach długie fajki. Kilku Chińczyków jedynie wśród tego żywego cmentarzyska porusza się swobodnie, rozmawiając z sobą tak spokojnie, a czasem z humorem, jak np. subjekci w sklepie w wolnej chwili. Zajmuje się miejsce w rogu komnaty, a usłużny pośrednik przynosi wszystko, co potrzebne jest do skosztowania opjum i jego skutków. Opowiada się o nich cuda. Podobno po zażyciu opjum przenosi się człowiek jakby do najrozkoszniejszego raju. Wszystko, co go tutaj lęka i dręczy, jest zapomniane. Oko jego duszy ogląda najczarowniejsze kształty i barwy, ucho słyszy rzekomo jakieś czarowne dźwięki. A jednak, ile razy zdrowy na ciele i duszy reporter, czy ciekawy turysta podda się temu eksperymentowi, doznaje przykrego rozczarowania i szczęśliwy jest, gdy wreszcie obudzi się z męczącego snu i wyjdzie na świeże powietrze. Pośrednicy opowiadają godzinami o organizacji tego handlu, o rozmaitych dramatach życiowych, które się w tych spelunkach rozegrały, o fatalnej sile nałogu, od którego zwolnić się już nie można, gdy raz mu się oddało — człowiek zdrowy słucha tego wszystkiego ze zdumieniem i niedowierzaniem i ma tylko wrażenie, że jest to jeden z tych niepojętych obłędów, których niestety wśród dzisiejszej ludzkości jest tak wiele...

W NOC WIGILIJNĄ ZAŻYŁ TRUCIZNĘ I SKOCZYŁ DO RZEKI.



Znany aktor filmowy Ernest Rolf popełnił samobójstwo w noc wigilijną.

Smutna wiadomość o samobójstwie najlepszego aktora rewjowego Skandynawji Ernesta Rolfa odbiła się głośnem echem w całej Europie i Ameryce.

Nieboszczyk był bowiem najprzystojniejszym mężczyzną Szwecji i bardzo utalentowanym i dowcipnym autorem-piosenkarzem, oraz nieporównanym wprost znawcą w kwestjach urozmaicania rewji pod względem kostjumowym i dekoracyjnym, w życiu zaś prywatnem słynął, jako arbiter elegantiarum.

Objeżdżał ze swoją trupą Szwecję, Norwegję i Danję, a każdy jego występ był sensacją dnia, która porywała tłumy.

W 1930 r. bawił w Hollywood, gdzie zaangażowano go do kilku filmów.

Jeszcze kilka tygodni temu gościł u siebie w Stockholmie znanego komika filmowego Harry Lloyda, z którym układał plany na przyszłość. Nic nie wskazywało, że ten młody, przystojny i rozrywany przez kobiety amant zamierza popełnić samobójstwo. A jednak szalejący kryzys, który zwłaszcza po bankructwie Kreugera dał się Szwecji bardzo we znaki, odbił się fatalnie na finansach Rolfa i jego młodej, czarującej, ale bardzo wymagającej żony, uchodzącej, obok Grety Garbo za najsłynniejszą gwiazdę filmową Skandynawji. Stosunki pomiędzy obu małżonkami były już od dłuższego czasu naprężone, tak, że powszechnie mówiono o ich rozwodzie.

We wieczór wigilijny Rolf był ogromnie zdenerwowany. Pokryjomu zażył truciznę a potem wsiadł w auto i kazał się wieźć poza miasto. Gdy wóz mijał rzekę, nagle Rolf rzucił się do wody. Z trudem udało się szoferowi wyratować go i zawieźć do pobliskiego szpitala, gdzie zmarł po 26-ciu godzinach.

Tak skończył człowiek, którego tłumy uważały za najszczęśliwszego. Jakże zmienne są losów koleje.





Czwarta żona Rolfa, Tutta.

GÓRA DŻIUGASA NA ŻMUDZI.



Charakterystyczne dla Litwy Kowieńskiej są t. zw. „pilkalnisy", czyli wzgórza sypane, które służyły w dawnych czasach, jako warownie w walkach z Krzyżakami. Wznoszono je zwykle nad brzegami rzek, w miejscach niedostępnych i obronnych od natury. Do najsłynniejszych do tego rodzaju warowni na Żmudzi, należy góra Dżiugasa (na zdjęciu), oddalona o 4 klm. od Telsz. Uchodzi ona w legendach ludu za grobowiec Dżiugasa, rycerza olbrzyma i czarownika, który był założycielem Telsz i pogromcą Krzyżaków. Dżiugas, zakochawszy się w Polce, porwał ją, a gdy umarła przedwcześnie, pochował ją w usypanej przez siebie mogile, gdzie niebawem sam spoczął, wraz z ogromnemi skarbami.

DOKARMIANIE PTASZKÓW.



Warszawskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt rozwinęło żywą propagandę wśród dzieci szkolnych na rzecz dokarmiania ptaków w zimie. W tym celu buduje ono budki i schrony dla ptaków i oddaje je pod opiekę dziatwy, która przyjmuje na siebie obowiązek, regularnego dostarczania ziarna do tych karmników. Przy tej sposobności nie od rzeczy będzie dodać, że najodpowiedniejszem pożywieniem dla ptaków śpiewających, ziarnojadów, jest gniecione siemię, mak, proso, łuszczony owies, siemie lniane, kanar itd. Najlepiej z ziarn tych przyrządzić mieszankę i wysypywać ją codziennie w pewnych stale oznaczonych miejscach. Dla sikor i ptaków owadożernych, poleca się niesoloną słoninę i sadło. Dla wróbli okruszyny z chleba, mięte kartofle itd. Na zdjęciu warszawskie dzieci szkolne, oglądające budkę dla ptaków, oddaną ich pieczy.

TOALETA LWA.



W południowej Afryce doskonale prosperuje ferma lwia niejakiego Wella, który hoduje dzikie zwierzęta, dla menażerji, ogrodów zoologicznych i jako „gwiazdy" filmowe. Główny kontyngent wychowanków Wella stanowią lwy. Odpowiednia tresura zrobiła z nich stworzenia bardzo łagodne, odnoszące się z największą ufnością do swoich opiekunów. Niechętnie tylko poddają się lwy porannej toalecie, polegającej na czyszczeniu ich sierści zgrzebłem. Mina tego młodego lewka, którego widzimy na zdjęciu jest aż nadto wymowna. Lew zdaje się mruczeć: ach, jak ja tego nie lubię, ale co mam robić?

BOCIANIE GNIAZDO, CZY KAPELUSZ?



Fotografja, którą reprodukujemy pochodzi z przed 20-tu lat i przedstawia elegantkę z 1912 r. w najmodniejszym kapeluszu. Kapelusz ten przypomina ogromem swoim bocianie gniazdo. Nic dziwnego, że taki kapelusik trzeba było przymocowywać do głowy ogromnemi szpilkami, których wystające ostrza stwarzały stałe niebezpieczeństwo dla otoczenia. Na kapelusze takie, zdobne niejednokrotnie w egzotyczne pióra, wychodziło dużo materjału, co oczywiście podrażały ich cenę. To też, gdy żona wspomniała o nowym kapeluszu, mąż cierpnął, gdyż wiedział, iż czeka go wielki wydatek. Dziś to wszystko należy do przeszłości, kapelusze stają się coraz mniejsze i coraz higjeniczniejsze, a przedewszystkiem tańsze.

KRÓL MODY — MALARZEM.



Któż z osób interesujących się modą nie słyszał o Pawle Poiret? Do niedawna jeszcze moda kobieca całego świata, zależała od jego kaprysów. On określał długość sukni, modny kolor i ten krój, który uchodził za krzyk sezonu. W ostatnich latach samowładztwo Poireta w Paryżu zostało zachwiane. Na pięty, zaczęli mu deptać inni mistrze, młodsi i bardziej przedsiębiorcy. Poiret stanął przed bankructwem, ale nie stracił wrodzonego spokoju. Jest bowiem z natury artystą. W wolnych chwilach od zajęcia maluje obrazy, podobno nawet dobre, a kiedy jeszcze zapali smaczne cygaro i z powagą usiądzie przy sztalugach (na zdjęciu), spokój maluje się na jego szerokiej twarzy i ta pewność, jaka jest cechą ludzi, którzy w życiu odegrali ważną rolę i są przekonani o swojej wartości i wyższości.

JAK POWINIEN WYGLĄDAĆ PORTRET KRÓLA?



Portret króla angielskiego, malowany przez Sickerta.

Miasto Glasgow ma kłopot niełada. Otrzymało ono w prezencie portret króla angielskiego Jerzego V, malowany przez znakomitego malarza Ryszarda Sickerta i zrezygnowało z tej darowizny, ponieważ obraz ten nie jest dość reprezentacyjny, t. zn. nie przedstawia króla, jako władcę, tak jak to jest przyjęte w tego rodzaju portretach, ale jako zwyczajnego człowieka, zajętego rozmową z managerem swojej stajni wyścigowej. Oto stoją sobie dwaj panowie w melonikach, a manager niczem nie różni się właściwie od króla.

Konserwatywni obywatele Glasgowa uważali, że byłoby to obelgą dla króla, gdyby w ratuszu zawieszono tak skromny jego portret.

Ale po prawdzie, czy król koniecznie musi występować zawsze na portretach w koronie i z mieczem w ręku, czy koniecznie muszą go otaczać armaty i sztandary „zwycięskiej" armji, czy nie można go przedstawić jako zwykłego śmiertelnika, w cywilnem ubraniu bez orderów, ostróg i złotego runa?

Przeciwko utartym pojęciom iść trudno, zwłaszcza, że masy chcą każdego władcę widzieć koniecznie w mundurze, na koniu, jako boga wojny, albo miłościwie panującego pana, kapiącego od złota i srebra. Pod tym względem, jakże typowe były portrety cesarza Franciszka Józefa, względnie Wilhelma, nie mówiąc już o carze. Ale artyści nie bardzo liczą się z upodobaniami tłumu i dlatego Sickert przeszedł do porządku dziennego nad tradycją i wymalował kapitalny portret, nawskroś nowoczesny, który Jerzego V, prawdziwego znawcę sztuki, z pewnością ucieszył, niż niezliczone inne portrety w stylu admiralskim.

MIGAWKI KARNAWAŁOWE.

JAK PANNA ZOSIA I MUSIA SPĘDZIŁY SYLWESTRA?

Na Sylwestra ludzie się bawią. Nic więc dziwnego, że i panna Zosia szalała w tym dniu. Kiedy spotkałem ją na Nowy Rok, była rozpromieniona.

— Bawiłyśmy się świetnie — zaczęła bez długich wstępów.

— Gdzie?

— Najprzód umówiłyśmy się z jednym dyrektorem na kolację.

— Cóż to za dyrektor?

— Znajomy Musi, on raz na tydzień przychodzi do niej na manikir. — Taki gruby i na palcu ma sygnet.

— No i co dalej?

— Ten dyrektor zaprosił nas na kolację. Najprzód wypiłyśmy po wódeczce, chociaż ja to wódki nie piję, wolę wino i to słodkie. Ale Musia powiedziała, że bez wódki, to nie ma Sylwestra. Więc ja też wypiłam dwa kieliszki i zagryzłam. A było w czem wybierać: śledź, węgorz, szynka, pomidory, sałatka zimowa, karp w galerecie. Klasa co?

— No to sobie pani użyła!

— Naturalnie. My z Musią postanowiłyśmy objeść się za cały rok. Więc najrzód barszczu filiżanka i trzy kromki chleba. Potem rozbratel z cebulą i ogórkiem. A potem, wie pan, jaki ten dyrektor jest chytry, poradził mi zjeść tort czekoladowy.

— No i co?

— No i zatkało mnie.

— Jakto zatkało?

— Nie mogłam już nic jeść. A tak żałowałam, bo miałam jeszcze apetyt na wątróbkę i na kotlet wieprzowy.

— Więc nie jadła już pani?

— Jadłam, ale już bez apetytu, bo mnie zupełnie zatkało.

— To rzeczywiście bardzo nieładnie ze strony dyrektora, że pani tak poradził, no a potem?

— Potem lody, a potem, to my uciekły.

— ?

— Bo ja się umówiłam na 11-tą na randkę z Felem, on jest ondulatorem w firmie „Stanisław", a Musia z Włodkiem. Wybraliśmy się razem we czwórkę na Noworoczny dancing do restauracji pod „Gwizdkiem".

— Pod Gwizdkiem?

— To bardzo porządny lokal. Włodek miał dużo forsy. Zabawa była klasa. O 12-tej Felek postawił flaszkę wina, ale jak on to ładnie zawołał: żamrozić!!!

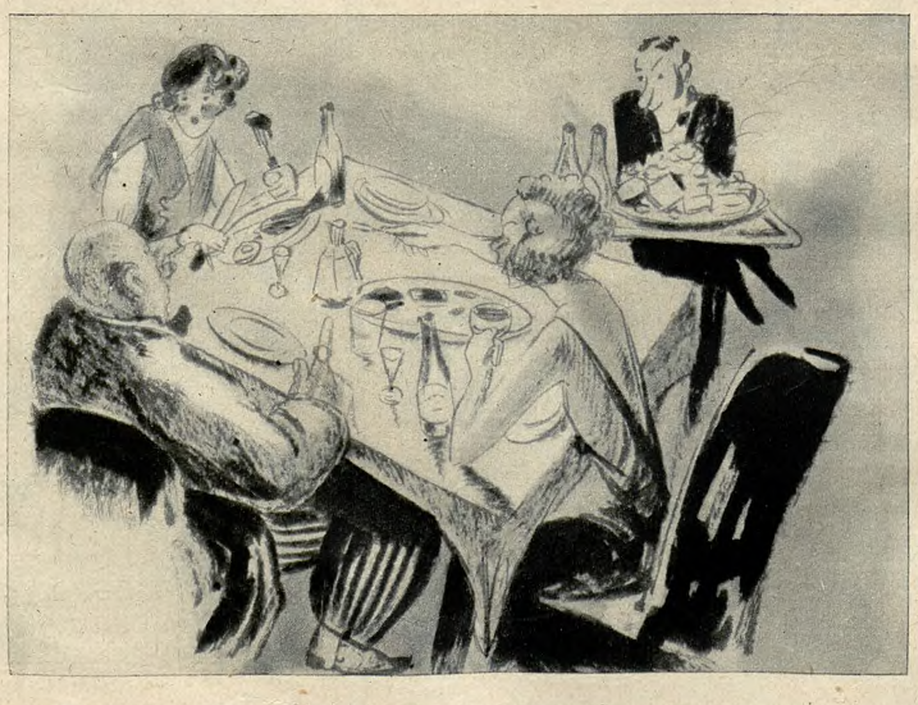
— No i „żamrozili?"

— A jakże. Wytańczyłam się na całe życie. Felek zaś oświadczył mi się.

— Jednem słowem, jest pani zadowolona.

— Tak, tylko nie mogę sobie darować tego tortu czekoladowego. Na drugi raz już nie dam się wziąć na kawał. Będę jadła najprzód wątróbkę z cebulką, potem kotlet wieprzowy z kapustą, a potem tort czekoladowy. Już mnie nie zatka!

J. L.



PUSTYNNE ZBIORNIKI WODY.

Kaktusy należą bezsprzecznie do najciekawszych przedstawicieli świata roślinnego. Obfitością rodzaji i swym kształtem dziwacznym budzą po dziś dzień podziw i zainteresowanie, występując od drobnych roślinek imitujących do złudzenia kamyczki rozsiane w pustkowiach Afryki południowej (przystosowanie się roślin do otoczenia, celem zachowania gatunku), aż do ogromnych kaktusów 7 metrowych nakształt kolumn roślinnych, występujących w środkowej Ameryce. A dalej — ogromna ilość rodzaji pośrednich, niższych lub wyższych, przeważnie silnie kolczastych, pokrywających się niekiedy pięknemi kwiatami, roztaczającymi naokoło przyjemną woń.

Kaktusy rosną w strefie gorącej, w pasach klimatycznych pozbawionych prawie zupełnie opadów atmosferycznych. Przez trzy czwarte roku, nie zwilża rozżarzonej ziemi ani jedna kropla wody. Zwierzęta pustynne szukając napróżno wody u wyschniętych źródeł, giną masami, a rośliny te nietylko żyją, ale rosną i nic nie wskazuje na to, aby miały cierpieć z powodu braku wilgoci. Muszą być zatem jakieś specjalne urządzenia, które dozwalają kaktusom żyć w tych warunkach, w których żadna inna roślina nie potrafiłaby przetrwać nawet 24 godzin. Zasadniczym problemem życiowym tych roślin, to konieczność zmagazynowania jak największych ilości wody, podczas pory deszczowej i utrudnienia nadmiernego parowania.



Kaktusy magazynują wodę. Wiedzą o tem turyści i dlatego starają się dostać się do wnętrza kaktusów, nie bacząc na ostre kolce, któremi broni się ta roślina przed intruzami. Zdjęcie z Kalifornji.

Warunki życiowe zmusiły te rośliny do wybudowania specjalnego kształtu swego ciała, charakterystycznego dla roślin suchoroślowych, a różniącego się zasadniczo od ciała roślin żyjących w warunkach normalnych. U kaktusów nie widzimy zupełnie liści, organów, zapomocą których odbywa się wyparowywanie wody. Asymilowanie pokarmów wskutek braku tych ostatnich, przejęły na siebie grube, mięsiste, a zielone łodygi. Skórka, pokrywająca zewnętrzną stronę łodyg jest gruba i w porównaniu z wiotką powierzchnią liści większości roślin, przedstawia się naszym oczom w formie grubych pancerzy, uniemożliwiających poprostu utratę wody. Wysycenie zewnętrznej warstwy komórek wapniem aż do 85% nadaje temu pancerzowi wyjątkową moc i odporność.

Kaktusy posiadają specjalną tkankę, której komórki przystosowane są tylko do magazynowania wody. Gospodarka wodna jest u tych roślin nadzwyczaj celowa. Zużywają ją bardzo umiarkowanie, tak, aby starczyła przez cały okres suszy. Zaobserwowano, że po domach, napełniają się te rezerwoary zupełnie — komórki do tego celu przeznaczone pęcznieją — zapas pobranej wody musi wystarczyć niekiedy na długie miesiące. Te zasadnicze zmiany w uorganizowaniu ich ciała dozwalają kaktusom żyć i rozwijać się w tych niezwykle ciężkich warunkach.

Kaktusy jako rośliny, mające własność magazynowania wody, byłyby wystawione na niebezpieczeństwo ataków rozlicznych zwierząt. Natura jednak nie pozostawia ich bezbronnemi, dając im bowiem skuteczną broń we formie kolców, które są niczem innem, jak przekształconemi liśćmi. Kolce te osiągają niekiedy znaczne rozmiary, jak np. u opuncji, której kolce długie od 3 cm. dochodzą do 8 cm.

Kolce, występujące na kaktusach są najprzeróżniejszych typów. Od drobnych, ledwie gołem okiem widzialnych igiełek, wbijających się z łatwością przy zetknięciu z ciałem, do wielkich nastroszonych igieł. Sposób ułożenia się i zgrupowania jest też, zależnie od gatunku, bardzo różny. To pokrywają one jednolitą warstwą całą powierzchnię rośliny, niczem las włóczek — to znów stoją kąpkami po dwie lub trzy, nachylone do siebie pod kątem ostrym. Są wreszcie kaktusy, których kolce wbijając się do skóry, wywołują niebezpieczne ropiące się rany.

Susza — rozżarzony piasek promieniami słonecznemi, zda się parzyć w stopy — woda wszędzie wyschła — roślinność wszędzie zamarła, tylko kaktusy wznoszą się dumnie ku słońcu, nie robiąc sobie nic z ogólnej spiekoty i martwoty. W takim to czasie każda z tych roślin jest rzeczą bardzo pożądaną dla zwierząt roślinnożerczych. Niekiedy kwestja dobrania się do kaktusa jest kwestją życia zdychającego z pragnienia zwierzęcia. Mimo strasznych kolców, w okresie takiej suszy, atakują stada zdziczałych osłów w południowej Ameryce te rośliny, usiłując uderzeniami kopyt je złamać, względnie rozszczepić, aby tylko dostać się do upragnionej wody. Często się jednak zdarza, że biedne zwierzęta cofają się z naszpikowanemi kolcami nogami, nic nie wskórawszy, ginąc często z ran, zadanych przez kaktusy.

Podobno niejednego wędrowca uratowały kaktusy od śmierci z pragnienia. Niektóre z nich, jak Echinocactus Bicoler, przedziurawione wydzielają wodę zupełnie czystą, a ciśnienie wewnętrzne jest tak znaczne, że wytryswa woda w formie strumienia.



Olbrzymi kaktus Cereus na skalistej pustyni w Meksyku.

Kaktusy są roślinami doskonale nadającemi się do hodowli pokojowej, a dzięki swej oryginalności i swym dekoracyjnym własnościom, zyskały szeroki krąg wielbicieli.

Kraków, **Konrad Fuglewicz.**

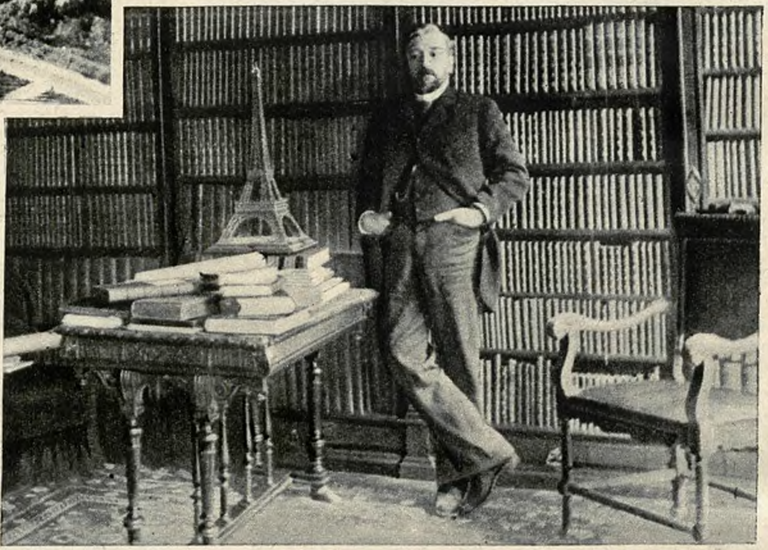
DOOKOŁA WIEŻY EIFFLA.



Ogólny widok Paryża, na pierwszym planie wieża Eiffla, tak nierozerwalnie związana z tem miastem i będąca niejako jego symbolem.

Mocno przyciskając ziemię swemi czterema potężnemi łapskami z kratownic stalowych, trzystometrowa wieża Eiffla dumnie głosi swą wagę siedmiu miljonów kilogramów i powagę najwyższej budowli świata. Duma zasłużona: wieża Eiffla stała się w świecie jednym z najważniejszych synonimów Paryża. Jej lekkość jest bodaj symbolem charakteru Francuza. Istotnie: całe żelastwo, użyte na jej budowę i zlane w jedną warstwę, dałoby płytę 10 centymetrów grubości i 125 metrów kwadr. powierzchni, a więc zníkająca prawie na ogromnej podstawie wieży...

Wybudowana w roku 1880 z okazji wystawy światowej, stanowić miała wieża inż. Eiffla bramę triumfalną. Zanim zdołała ona jednak zatriumfować, stała się ośrodkiem zażartych walk i tarć różnorodnych. Esteci krzywili się na myśl o tym stalowym potworze, przybywającym kłóć niebo Paryża i być pomnikiem dotychczasowej jednolitej sylwety stolicy świata. Pisarze redagowali manifest protestacyjny, zbierając podpisy Maupassanta, Huymansa, Coppee, Sardou, Sully-Prudhomme, i wielu innych. Technicy ostro krytykowali wyliczenia, twierdząc, że wieża nie utrzyma się. Inni składali skargi różne w okresie pamiętnego skandalu „Panamy". Eiffel został skazany przez Trybunał! Wtedy żądano skreślenia go z listy kawalerów Legji Honorowej. Ale kapituła Legji wolała była podać się zbiorowo do dymisji, niż ulec presji tłumu. Bo tłum sarkał, jak zwykł to czynić zawsze. Zmienia się tylko temat wraz z modą i z czasem... Eiffel zresztą zdołał się oczyścić z niesłusznych zarzutów. Jego wieża, stojąc mocno lat tyle, wykazała bezpodstawność zazdrosnych konkurentów, z których żaden do dziś, w żadnej części świata nie zdołał wznieść podobnego drapacza. Nasze poczucie piękna i estetyki, ewoluując w latach ostatnich, potrafiło dojrzeć nowe piękno w zimnej masie metalu. Stalowy szkielet wraz z wiekiem rósł w przeżycia i historję własną. Poeci zaczęli opiewać niespostrzegane dotąd piękno najwyższego monumentu Paryża. Powieściopisarze poświęcili nie jeden tom życiu, kolosa, od jego podstaw, aż do najwyższych pięter, 300 metrów nad poziomem naszego życia codziennego. Niekiedy tylko docieramy do tej wysokości; wygodne windy przenoszą nas szybko i wygodnie. 15.000,000 ciekawych wdrapało się na szczyt, by lubować się stąd bajeczną panoramą Paryża i odległych nawet okolic.



Francja obchodzi obecnie stulecie urodzin inż. Eiffla, konstruktora wieży jego imienia.

Mimo bojaźni tłumu, wieża odrazu stała się wielką ulubienicą Paryża. Zaraz w pierwszym roku, w roku owej wystawy światowej, dwa miljony ciekawych spoglądało na Paryż z wierzchołka. Król angielski Edward VII, wówczas książę Galji, z rodziną, Jerzy V, Maud — dziś królowa Norwegji, Sarah Bernhardt, Edison byli jednymi z pierwszych. Czy do szczytu dotarli piosenkarze i śpiewacy? Niewiadomo, ale długo wieża Eiffla nietylko wcinała się swym cielskiem w niebo Paryża, ale i słyszana była wszędzie, w każdym teatrzyku i cafe-concert. Wieża zaczynała żyć... W sklepach pojawiły się jej minjatury i do dziś znajdują one nabywców, wolących to, niż posążek nagiej Józefiny Baker, czy... Napoleona.

Potem przyszła Wielka Wojna. Zamknęła ona wieżę dla zwiedzających, ale uczyniła z niej ważny punkt obserwacyjny i stację radjową, czynną do dziś.

A potem, powoli, ludzie zapominali sarkać na Eiffla. Raz tylko burknął magistrat miasta Paryża, bo coroczny remont wieży kosztuje zbyt wiele. Sam zakup farby, niezbędnej do uniknięcia rdzy, przekracza możliwości finansowe miasta Paryża! A utrzymanie specjalnych drużyn robotników wyspecjalizowanych, niebojących się karkolomnej pracy 300 metrów nad ziemią? Wieża utrzymana i odnawiana jest pieczołowicie; mało belek pozostało niezmienionych od czasu narodzin wieży: kątownik po kątowniku, nit po nicie wyjmowano i zastępowano nowemi, które potrafią przetrzymać nowych lat dziesiątki. A potem przyszedł Citroen, i uspokoił sapanie budżetu miasta Paryża z okazji wystawy sztuk dekoracyjnych w 1925 roku. Wynajął on wieżę na swą reklamę. Miasto zgodziło się. Do dziś reklama ta świetna i świetlna istnieje. Dla spoglądających przestała ona nawet już być reklamą! Jest czemś nieodzownem w życiu Paryża.

Dziś inż. Eiffel obchodziłby setną rocznicę swych urodzin. Umarł 7 lat temu. Dożył jednak uznania i popularności. Wspomniałby on jednak zapewne dziś, że konstruktorem został przez przypadek... Studjował chemję i miał poświęcić się fabrykacji octu i farbek! Ale nieporozumienia rodzinne... Dziś nikt w to nam nie wnika. Wolimy wieżę, niż ocet. I nie wątpimy, że żadna nie gra jej dziś „nagonka".

Tylko błyskawice z lampionów przerzynają rytmicznie, choć niespokojnie łunę nieba...

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

BRUNO WINAWER.

JESZCZE JEDEN KRYZYS.

Nawet na zjazdach naukowych rozbrzmiewa coraz częściej to przykre słowo... Nietylko politycy, ekonomiści, publicyści, ale i matematycy mówią dziś o kryzysie. Ten wyraz smutny przeskoczył nagle ze szpalt dzienników na karty książek, upstrzonych wzorami i cyframi, na łamy czasopism specjalnych, brzmi w dostojnych salach wykładowych i obija się o tablice, zapisane znakami algebraicznemi.

Uczeni nie ukrywają już tego przed nami: fizyka teoretyczna również przeżywa kryzys.

Co się właściwie stało i kiedy nadszedł ów dzień ponury po dniach wielkich triumfów i chwały — ustalić trudno. Fizycy dawniejsi — Faraday, Kelvin, Hertz — uważali, że badacz tworzy i tworzyć musi mniej lub więcej trafny obraz zewnętrznego świata, że buduje pracowicie modele tych zjawisk, wydarzeń, które obserwuje, ulepsza ciągle pojęcia i poglądy, koryguje, zmienia, ale wreszcie otrzymuje pewien przyrząd „wyobrażalny", który funkcjonuje sprawnie jako „namiastka"... Tak wymyślono sobie np. słynny eter świetlny i kazano mu przenosić fale elektryczne.

Otóż ten eter był pierwszym kamieniem obrazy. Posiadał najdziwaczniejsze cechy. a nie można go było nigdy przyłapać na gorącym uczynku, wiódł jakiś żywot podejrzany i wyłącznie hipotetyczny. A może go wogóle niema?... Kłótnia „istnieje czy nie istnieje?" trwa do dnia dzisiejszego. O. Lodge jest za eterem, Jeans i inni widzą w nim puste słowo, nazwę, etykietę, którą przylepiliśmy figlarnie do pustej butelki.

Ta ciekawa kwestja nie wyleciała zbyt daleko poza grube mury wszechnic. Sroższą burzę wywołał — mimowoli — jeden z najznakomitszych teoretyków w dziejach nauki nowszej, Max Planck. Badał przed laty prawa, rządzące promieniowaniem i doszedł do zdumiewającego wniosku, że nawet najdrobniejsze drobiny — atomy — łykają i wypluwają energję porcjami, haustami, w odmierzonych ilościach, jak my chwytamy powietrze, albo ryba wodę. To prawo „kwantów" stało się podwaliną świetnej teorji, wyjaśniło wiele faktów znanych, odkryło wiele nowych, olśniewających, stało się najcenniejszym klejnotem w skarbnicach wiedzy.

Kiedy zaczęto tworzyć piękne — dziś już powszechnie chyba znane — modele atomów, teorja Plancka nie mogła być oczywiście pominięta. Wyobrażano sobie, że elektrony w atomach krążą naokoło jądra, czasem się wykolejają, spadają na inną orbitę, ale i podczas tej straszliwej katastrofy wyrzucają w przestrzeń falami planckowskie kwantum energji, ani trochę mniej, ani trochę więcej. Dlaczego tak się dzieje? czemu niedostrzegalne ładunki elektryczne stosują się do formuł teoretyka berlińskiego? Najwięksi fantaści wśród uczonych pomijali to pytanie milczeniem, nie umieli znaleźć odpowiedzi rozsądnej...



Najwyższe na świecie obserwatorjum astronomiczne, wzniesione na wysokości 3.475 m na górze Jungfrau w Szwajcarji. R. Sennecke, Berlin.

Właściwie — nietylko skoki elektronu, ale on sam był coraz bardziej zagadkowy, tajemniczy, niepojęty. Czasem miał cechy cząsteczki, kropli elektrycznej, czasem się zachowywał wyraźnie jak fala w eterze, dziś jest falą i drobiną jednocześnie. Jak to sobie wyobrazić?

I tu docieramy do punktu zwrotnego! Szkoła najnowsza — Schrödinger, Heisenberg — nic sobie nie chce wyobrażać. Młodzi teoretycy patrzą zpodełba złem okiem na „obrazy" świata zewnętrznego. Skoro te wszystkie „modele" prowadzą do jakichś prostych formuł — rozumują — spróbujmy odnaleźć formułę bez modelu. Kto wie — dorzuca zawadjaka Heisenberg — czy „prawa" wogóle istnieją, czy wolno nam budować wyobrażalne mechanizmy — nawet w najprostszych przypadkach znamy i możemy znać tylko część danych tak, jak widzimy zawsze tylko połowę księżyca. Kto wie np., czyśmy zasadniczego „prawa przyczynowości" nie podrzucili swawolnie naturze, która uznaje jedynie prawa statystyczne... A Schrödinger w pewnym odczycie popularnym próbuje wyjaśnić przeraźliwie zawiłą kwestję: dajmy na to, że z stacji krańcowej — mówi — odchodzą co kwadrans autobusy. Oczywiście, nie zachowają równych odległości po drodze, ruch kołowy na skrzyżowaniach ulic, przystanki sprawią, że już po pewnym czasie zaczną się dopędzać, skupią się. Teoretyk dawniejszy poczuje tu szukać natychmiast jakiegoś prawa „przyciągania powszechnego autobusów" — teoretyk nowszy powiada skromnie: „statystyka"...

A więc tylko statystyka i formuła? Genjalny Max Planck, który tę wielką nawalnicę rozpętał, protestuje głośno i gorąco. Wydał niedawno dwie mocne rozprawy w obronie prawa przyczynowości i innych praw nieprzedawnionych. Chcemy nietylko świat matematycznie opisać — twierdzi — chcemy go zrozumieć. Czcimy Kopernika nietylko dlatego, że dał trochę prostszy wzór, przeniósł oś i ułatwił rachunki matematykom. Wzory algebraiczne nie zaspokoją nigdy świętej ciekawości, która wszelką naukę stworzyła.

„Kryzys" w naukach ścisłych świadczy, że jesteśmy dopiero na początku wielkiej drogi i że nie zbraknie tak prędko pracy przyszłym Newtonom, Einsteinom i Planckom.

POWRÓT DO LOCZKÓW.



Fryzura balowa jest problemem równie ważnym, jak suknia wieczorowa. A problem ten jest tem więcej skomplikowany, że moda przynosi coraz większą rozmaitość uczesania, zwłaszcza od momentu, kiedy powróciły do łask loki i to bynajmniej nie sztuczne, lecz sztuczne upinane z własnych, nawet krótkich włosów.

Mamy więc, obok ciągle jeszcze modnych, peruk, eleganckie i bardzo twarzowe fryzury, układane w kunsztowne loczki, luźnie ozdabiające głowę lub zebrane w rodzaju węzła ponad karkiem.

Ale nie sam wyłącznie sposób uczesania jest zagadnieniem pierwszej wagi w stosunku do karnawałowej fryzury. Kolor włosów jest również sprawą zasadniczą, której mistrzowie mody poświęcają wiele uwagi, jako że naturalne kolory mało zazwyczaj są efektowne w świetle sali balowej. Zwycięstwo na niej święcić może w pełni tylko odcień złocisty włosów blond, które jednakże



Urocza brunetka z gładką fryzurą o nisko upiętych lokach.

U góry: Grzywka, loki wokół głowy i wysoko upięty „kok" — nowość 1933.

Dumas, słynny fryzjer z Nowego Jorku, kreuje na karnawał takie oto loczki.

Obok: Emmy Magliani, tancerka Opery Paryskiej nosi loki po bokach głowy.

moda stara się koniecznie naświetlić nowemi odcieniami.

A więc po okresie panowania srebrzystej blondynki, w tonie platynowym, najmodniejsze są obecnie blondynki perłowe. Włosy mają odcień różowawy lub lila i mienią się zazwyczaj w tych tonach w połączeniu z niebieskawą barwą na tle naturalnego koloru jasnych włosów.

Perłowy lakier do paznokci i perłowy odcień blond włosów — oto zapowiedzi obecnego karnawał.

Nie wszystkie panie będą mogły z tej nowości korzystać, ale też moda obecna jest na tyle liberalna, że dopuszcza, a nawet popiera wszelką indywidualność. Znajdą więc i szatynki i brunetki odpowiednie dla siebie fryzury. Ich gładko zaczesane włosy, ułożone na karku w piękne loki, będą właśnie swym kontrastem przy perłowych i złotych blondynach wyglądały równie ponętnie.

J. Z.

TAM, GDZIE URODZIŁ SIĘ GEN. DĄBROWSKI

(1755 — 1818).

Mało komu z szerokiej publiczności wiadomo, że twórca Legjonów gen. Jan Henryk Dąbrowski urodził się w Pierzchowcu, w województwie krakowskiem. Mała ta i jakby zapomniana od Boga i ludzi wioska, leży na uboczu, na prawo od drogi, wiodącej z Krakowa przez Gdów do Bochni.

Po kiepskiem gościńcu, docieram do skrzyżowania dróg. Na mapie rysuje się cieniutka kreska, która prowadzi do Pierzchowca. Na tę kreskę też kieruję auto. Przez chwilę jedzie się jak po stole, wąską, polną drużyną, ale nagle zaczyna się dziać coś niesamowitego. Wóz zapada się najprzód po koła a później aż po stopnie w grząskiem błocie. Nie pomogają rozpaczliwe wysiłki szofera.



W miejscu, gdzie stoją te dwie wiejskie chałupy, był dwór w Pierzchowcu, w którym urodził się dnia 29. sierpnia 1755 roku generał Jan Henryk Dąbrowski, twórca Legjonów.



Pomnik wzniesiony w Pierzchowcu, w dawnym parku, należącym do dworu Dąbrowskich, ku czci Naczelnika Legjonów.



Wioska Perłowiec, granicząca z Pierzchowcem, powiat Bochnia, województwo krakowskie.

Koła wprawdzie obracają się, ale lada chwila grozi urwanie kardanu. Rada w radę, ja i mój towarzysz idziemy do wsi po ludzi i konie. W pół godziny później na miejscu katastrofy zjawia się „pogotowie ratunkowe", złożone z kilkunastu chłopów i pary rosłych rumaków. Próbujemy wspólnym wysiłkiem (viribus unitis, dawne hasła austrjackie) wydostać wóz z błota. Ale wszystko nadaremnie. Wreszcie coś po godzinie skomplikowanych zabiegów wóz staje na twardym gruncie. Ruszamy w dalszą drogę, ale już z największą ostrożnością. Na szczęście, trochę koszlawy drogowskaz wskazuje, że do celu naszej podróży już niedaleko, jeszcze jeden zakręt i już Pierzchów.

— Czy tu urodził się gen. Dąbrowski — pytam małej dziewczynki, pragnąc zbadać, czy kult wielkiego bohatera narodowego żyje także w świadomości mieszkańców jego gniazda rodzinnego.

— Tak, tam, gdzie pomnik, odpowiada bez zająknięcia dziewczynka.

Rzeczywiście na wzgórzu widać obelisk, a nieco dalej napis, który głosi że w tem miejscu stał dwór, w którym urodził się gen. Jan Henryk Dąbrowski. Naturalnie dworu ani śladu. Zburzono go jeszcze przed 40-tu laty, a majątek rozparcelowano. Stara kobiecina podchodzi do mnie i udziela objaśnień:

— Moi ojcowie, to jeszcze pamiętali ten dwór.

— A w którem miejscu on stał?

— Ka ta chałupa i ule.

Podchodzę do tej chałupy. Rozległy stąd widok. Przedemną dolina Raby. Rzeka ta wije się błękitną wstęgą wśród gęstych łóz. Ładnie i miło musi tu być na wiosnę i w lecie. A teraz pola jakieś smutne i puste, a równocześnie dziwne. Ma się wrażenie, że to marzec, a to przecież dopiero grudzień. Ani śladu śniegu.



Portret gen. Dąbrowskiego z r. 1772.

Jeszcze kilka notatek i fotografij i rozpoczynam odwrót. Prawie cała wieś zbiegła się, aby zobaczyć człowieka, który przyjechał na to tylko, aby oglądać pomnik i obejście wiejskie. Zauważyłem bardzo nieufne miny.

— A może to komornik, albo jaki inszy egzekutor, doszło do moich uszów, kiedy motor już zawarczał.

Nie pomyliliście się dobrzy ludzie. Rzeczywiście, nie tylko jestem, ale chcę nawet być komornikiem, t. zn. chcę „zająć" kogo należy tym drobnym artykulikiem i zachęcić szczególnie młodzież, aby gdy nastanie wiosna zboczyła z utartych szlaków wycieczkowych do Pierzchowca, podumać na miejscu, gdzie urodził się ten, „za którego przewodem, łączym się z narodem".

J. L.

— Ja tu wedle strzyżenia..
— Oui, Monsieur Polak...



Robotnik polski Maciej Krocz strzyże się u ulicznego fryzjera w Paryżu. Fryzjer założył mu „elegancką", choć trochę dziurawą, serwetę pod szyję i zabrał się ochoczo do roboty, zabawiając egzotycznego gościa interesującą rozmową.

„O czem tu myśleć na paryskim bruku"... Ileż razy słowa te przychodzą na myśl, gdy się chodzi po ulicach stolicy nadsekwańskiej. Bo jest tam o czem myśleć i na każdym kroku spotyka nas coś nowego, co zapala naszą myśl, pobudza i podnieca.

A tem więcej ostatnie czasy nasuwały bardzo wiele tematów do rozmyślań. I na Paryż, przeszedłszy już cały świat, zeszła atmosfera lat kryzysowych. Bogata Francja, tak bardzo we wszystko zasobna, nie ostała się fali bezrobocia, nędzy... I wtedy na ulicach Paryża zaczęliśmy obserwować najrozmaitsze ciekawe obrazki, jakich dotychczas tam nigdy nie widzieliśmy.

Kryzys wypędził bowiem na te najruchliwsze w Europie i najbarwniejsze, najpełniejsze niespodzianek ulice mnóstwo interesujących typów, rezydujących dotychczas w ścianach domów albo na peryferjach miasta. Handel, który i tak zawsze był w Paryżu silnie reprezentowany na ulicach, zapełnił wszystkie kąty między kamienicami, zabarwił budami i straganami wszystkie place. A ponadto na ulicę wyszedł także przemysł ze wszystkiemi swemi zawodami.

Właśnie jeden z takich obrazków widzimy na naszej fotografji: uliczny fryzjer — zupełna nowość! Uliczny fryzjer ma jedno krzesło i małą walizeczkę z przyborami swego zawodu. Przenosi się z miejsca na miejsce i strzyże i goli na trotuarach pod domami, w sieniach, na podwórzach. Z pewnością jest on nietylko dwupłciowy, jakimi bywają fryzjerzy u nas, reklamujący się: „Fryzjer męsko-damski", gdyż jeśli się tak trafi, to ostrzyże pięknie i psa, nie biorąc za to ani wyższej ani niższej ceny, niż za ostrzyżenie człowieka...

Nikomu to nie robi różnicy, gdyż klienci takiego fryzjera należą do niewyrafinowanych pod żadnym względem...

Przedstawiona na naszej fotografji scenka jest tem charakterystyczniejsza, że fotograf uchwycił uliczny „zakład fryzjerski" w momencie, gdy zjawił się w niej gość, interesujący nas więcej od innych — pan Maciej Krocz. Kto to jest? — zapytają czytelnicy. Maciej Krocz jest jednym z tak licznych robotników polskich w Paryżu i jest figurą zupełnie autentyczną. Stary robociarz, który w walce „o lepsze jutro" udał się na emigrację do Francji, nie posiadł sztuki posługiwania się językiem „Frajcuzów". To też unika on ich i dziś także poszedłby do polskiego fryzjera, znanego pana Boczka nad Sekwaną, gdyby nie to, że bardzo mu pilno, a znajduje się w zupełnie innej części Paryża.

Ujrzał ulicznego fryzjera i z całą naiwnością mówi do niego po polsku:

— Ja tu wedle strzyżenia, panie monsieur...

A fryzjer rozumie, o co chodzi. Porozumiewają się potem na migi. Gdy nie chodzi o specjalną fryzurę, jest to całkiem proste...

Ale Polak coś tam opowiada podczas operacji — parę słów francuskich, wmieszanych w prostą polską gwarę.

— Polonais? — domyśla się fryzjer.

— Polonais, Polak, a juści! — odpowiada z dumą Maciej Krocz.

Więc fryzjer, dokoła którego gromadzą się zawsze gapie uliczni, próbuje bawić rozmową starego Polaka. Gapie śmieją się i śmieje się Maciej Krocz. Coś tam te Frajcuzy szwargocą, czego on nie rozumie, ale to nie szkodzi. Grunt, że jego twarde włosiska spadają na trotuar pod tępemi nożycami fryzjera. Niech zrobi swą robotę, a o resztę Maciej się nie turbuje.

„Vieux Polonais" odejdzie za chwilę i miejsce jego zajmie inny klient. Uliczny fryzjer ma sporo gości. Strzyże i goli, broniąc się przed kryzysem, który wypędził go na ulicę i który cały świat tak strzyże i goli, jak on Macieja Krocza i jemu podobnych...

Zet.

Humor Światowida

Rozwój muzyki podwórkowej.



wczoraj... *dzisiaj...* *jutro...*

Ofiary namiętności.



— *Gdy jestem z tobą, zapominam o całym świecie!...*
— *Ja także, kochanie...*

Zima 1933.



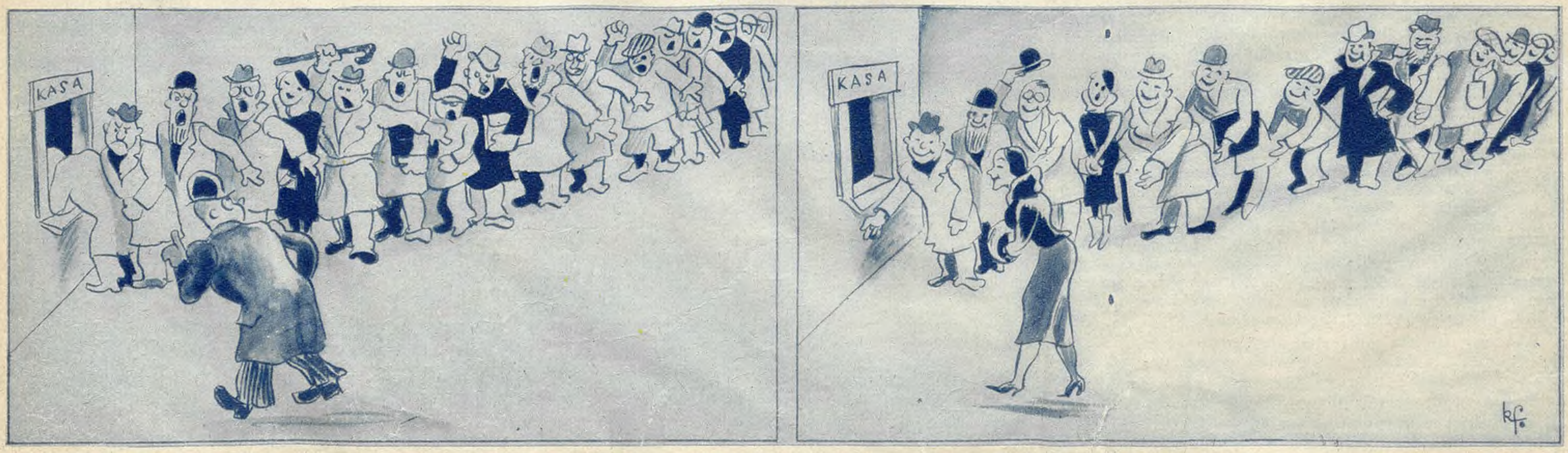
— *Właśnie przywieźli śnieg, zbierz się prędko, zanim wszystkie miejsca będą zajęte...!*

Synek fotografa.



— *Popatrz tatusiu; tam idzie negatyw...*

Względność czasu.



— *Co pan sobie wyobraża; my tu stoimy od samego rana!!*

— *Ależ proszę bardzo; nam się nie spieszy...*

Zima na Huculszczyźnie.



Własność Muzeum Narodowego w Kr

Mal. prof. Władysław Jarocki.

SZARADA.

(Uł. A. Mieczkowski, czł. Warsz. Kl. Szar.).

Gdy **piąte** = **czwarte** z nad Gangesu
  Podały sobie bratnią dłoń,
Dziś dumny synu Albionu
  W pokorze głowę swoją skłoń!...
Mahatmy **pierwsze oraz czwarte**
  Mocniejsze były, niźli broń,
Skoro sprawiły, że parjasi
  Dziś dumnie noszą swoją skroń...
Maluczko jeszcze, a ujrzymy
  Postępy większe w kraju tym:
U siebie w domu będą oni
  Trzymali odtąd sami prym;
Najeźdźców zasię precz wyżeną
  Co tam upiorem byli złym!
Tego niech czeka syn wyspiarski,
  Czy chytry Jack, czy John, czy Jim,
Że **na** = **wspak pierwsze i wspak piąte**
  Pójdzie też wkrótce business tam...
To nie konika „**raz** — **trzeciego**"
  Truchtem się zbliży do ich bram
Kres dobrobytu, jaki mieli!
  Koniem Attyli zjedzie ich kram
I ich ambaras gospodarczy! —
  (I któż spróbuje zadać kłam
Mym przepowiedniom?!...) — **Czwarty** = **piąty**
  Ani tek Kossak, taki zuch,
Nie odmaluje dziś obrazu,
  — Choćby robili to we dwóch, —
Nowego życia Albionu!
  Zostanie z tego marność, puch!
Wszystko się skończy, nawet w sporcie
  Osłabnie w **pierwszem** = **drugiem** ruch!...

Za rozwiązanie powyższej szarady redakcja „Światowida" przeznacza

Trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

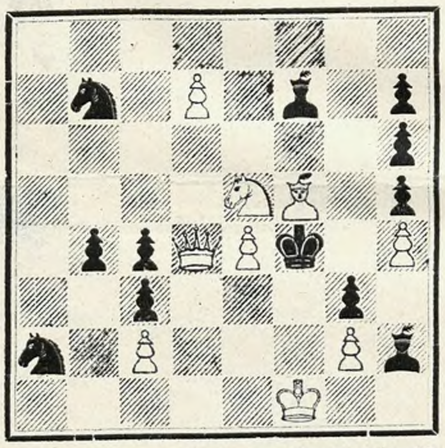
Rozwiązanie należy nadsyłać najpóźniej do dnia 14. stycznia 1933. wraz z załączonym kuponem.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

M. Wróbel (III nagroda w konkursie międzynar. „Szachmatni Liston" za I półr. 1927 r.).

Czarne: Kf4, Gf7 h2, Sa2 b7, piony: b4, c3, c4, g3, h5, h6, h7 (12).



Białe: Kf1, Hd4, Gf5, Se5, piony: c2, d7, e4, g2, h4 (9).

3-chodówka 9+12=21.

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki M. Wróbla: 1. S—c6! (grozi 2. H—d6+) **I.** 1... G—e6 2. e5 i 3×; **II.** 1... G—6 2. S—e7 i 3×; **III.** 1... G—d5 2. e×d5+ i 3×.

PARTJA.

Białe: **Salwe** Czarne: **A. Rubinstein**

grana w pojedynku w Łodzi w r. 1907.

Giuoco piano.

1. e4 e5
2. S—f3 S—c6
3. G—c4 G—c5
4. S—c3 S—f6
5. d3 d6
6. G—e3 G—b6
7. 0—0 G—g4!
8. S—d5 S×d5
9. G×d5 0—0
10. h3 G—h5!
11. g4 G—g6
12. G—g2 K—h8
13. H—e2 H—e7
14. a4 S—d8
15. a5 G×e3
16. f×e3 c6
17. G—b3 S—e6
18. c3 S—c5
19. G—c2 d5
20. e×d5 c×d5
21. S—h2 e4
22. d4 S—d3
23. G—b3 Wa—d8
24. H—d2 f5
25. c4 f4!
26. c×d f3+
27. K—h1 H—h4
28. G—c4 H×h3
29. G×d3 e×d
30. W—f2 G—e4
31. W—c1 W—f6
32. H—b4 d2! **(1)**
33. W—d1 H—g3
34. H—e7 **(2)** W—c8
35. Wf×d2 H—e1+!!
36. W×e1 **(3)** f2+
37. H×e4 f×e1H

Białe poddały się.

UWAGI:

(1) Początek wspaniałej kombinacji. Gdyby teraz 33. H×d2, to W—h6 34. K—g1! H—g3+ 35. K—f1 W×h2 36. W×h2 G—d3+! 37. H×d3 H×h2 i t. d.

(2) Gdyby 34. H albo Wd×d2, to W—h6 z groźbą W×h2+.

(3) Albo 36. S—f1 W—h6+ 37. K—g1 f2+.

Partję tą, stosunkowo bardzo mało znaną zamieściliśmy z okazji 50-letniego jubileuszu mistrza polskiego.

Odpowiedzi redakcji.

WP. W. KARAŚ, BUFALLO. Odbiór partji z podziękowaniem potwierdzamy. Prosimy o dokładne podanie turnieju i daty.

Rozwiązanie z Nr. 51.

REBUS: „Aj, aj! zima!" — każdy woła — a tu kieszeń ciągiem goła!

LOGOGRYF: Boże Narodzenie już idzie.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 51 nadesłali:

Jan Gdowski, Kraków; „Gon", Warszawa; Karol Kubierek, Kraków; L. Pogoda, Jaworzno; W. Stribrny, Katowice; J. Krosnowski, Warszawa; Anna Szmytowa, Poznań; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; „Joteł"; Wacław Tyblewski, Poznań; Adam Borow..., Poznań; St. Nowicki, Poznań; E. Hoffmann, Poznań; H. ...larnowski, Dubno; „Wilnianin", Dubno; „Halina"; „Ma..."; „Jerzyk"; L. Lenartowski, Poznań; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; Józef Maziarz, Ozorków; „Apollo", Ozorków"; **Fr. Wiśniewski, Warszawa (zł. 30.—)**; Z. Biesiada, Ozorków; Wład. Gajowa, Poznań; Zenon Fonferko, Przemyśl; St. Biesiada, Ozorków; Halina Czaplina, Poznań; Zygm. Tietz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Stan. Mikowska, Warszawa; W. Kortylewicz, Poznań; M. Franc. Jarocka, Warszawa; Jan. Słabówna, Nowy Sącz; Stan. Tele..., Pińczów; D. Herbstmanówna, Warszawa; Maryśka z Rzeszowa; J. Rogowski, Warszawa; „Grudzień", Warszawa; **Alfred Nowakowski, Zegrze k. Warszawy (zł. 20—)**; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; M. Szewiakowa, Wilno; M. Strubel, Warszawa; „Niunia", Rzeszów; Roman Mendrala, Rzeszów; Jan Janczewski, Wilno; Roma Schützowa, Poznań; Teofil Sobecki, Poznań; Józef Czerwiński, Kowel; „Wiślanka"; M. Zapiór, Kraków; Harcerze Szkoły Handlowej, Rybnik; Jurk Zapiór, Kraków; Zdz. Fischbach, Września; Natalja Sobolewska, Lublin; por. Br. Bubnicki, Kraków; Lucjan Siniłło, Góra Kalwarji; ks. ... Klementowski, Tornopol; Kaz. Lilpop, Warszawa; T. Kre...kowski, Warszawa; **Terena Zacherowa, Jaworzno (zł. 10** prosimy uprzejmie o dokładny adres); Wanda S., Królewszczyzna; Tad. Kosiński, Skierniewice; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; Zb. Brock, Poznań; Miecz. Koselnik, Skarżysko; Józef Rogowski, Warszawa; Emerytka, Wilno; Stan. Mucha, Kraków; M. Kubiczowa, Poznań; Walent. Nowicka, Poznań; St. Effert, Poznań; Gertr. Bartoszewska, Poznań; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Helena Opielińska, Środa; Irka i Zymek z Żychlina; Ziuta Książczakowa, Warszawa.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Fr. Wiśniewskiego, Warszawa (zł. 30.—), Alfreda Nowakowskiego, Zegrze (zł. 20.—) i Terenę Zacherową, Jaworzno (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida" wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

I MY TAKŻE GRAMY W „JO-JO".



ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 231-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus") ...żeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszcz... cenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po ...

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF F...
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Kr... ...od zarządem Feliksa Korczyńskiego.